EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 10 września 1933 R. | NR. 37 (50)

Nowy porządek

Człowiek i przepis

Ginący teatr

Dwie rewolucje

Śmiech artystów

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Listy do „Epoki“.

AUTORZY: Wasowski. Michałowski. Czarnowski. Szpecht. Samotyhowa. Burdecki. Modrzewska.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

RZEŹ ASYRYJCZYKÓW

W wywiadzie, udzielonym korespondentowi londyńskiego *Times*, oświadczył premjer Iraku, że „ostatnie zamieszki asyryjskie były całkowicie bezkrwawe". Słowa ministra, wypowiedziane w imieniu króla Iraku, Fajsala, okazały się kłamliwe. Na terenie rozruchów padło 600—700 trupów.

Asyryjczycy są nestorjanami (sekta chrześcijańska). Z ich czynnych usług skwapliwie skorzystała Anglja podczas wielkiej wojny, jak również później, podczas tłumienia rozruchów w azjatyckich posiadłościach brytyjskich. Po wojnie odwieczną siedzibę Asyryjczyków, Hakkiari, przyznano Turcji. Aby ujść przed prześladowaniami tureckiemi, Asyryjczycy gromadnie opuścili swe rodzinne góry i jako emigranci - uciekinierzy osiedlili się na pograniczu Iraku, który tymczasem wyzwolił się z pod władzy mandatowej Anglji i jako państwo suwerenne, przyjęty został do Ligi Narodów. O losie mniejszości asyryjskiej pod rządami króla Fajsala świadczy wymownie odezwa patrjarchy asyryjskiego, który w czerwcu zarządził trzydniowy post, „aby głód każdego mężczyzny, kobiety czy dziecka krzyczał donośnie o wyswobodzenie od jarzma". Kilkakrotnie apelowali też Asyryjczycy do Ligi Narodów, lecz bezskutecznie.

I nagle, opinją świata wstrząsnęły wiadomości o okrutnej masakrze, której ofiarą padli mieszkańcy pogranicznych wiosek asyryjskich. Znaleziono przeszło 300 trupów w miejscowości Simel i prawie tyleż pod Doguq. Opinja angielska zawrzała oburzeniem. Poparcie, udzielone Irakowi w jego staraniach o przyjęcie do Ligi Narodów, nakładało na Anglję pewne zobowiązania moralne za politykę nowego państwa. Anglja oświadczyła zresztą wyraźnie: „Rząd Wielkiej Brytanji zdaje sobie w zupełności sprawę z odpowiedzialności, jaką przyjmuje na siebie, zalecając przyjęcia Iraku do Ligi. Jeśli Irak okaże się niegodnym zaufania, odpowiedzialność moralna spada na rząd brytyjski".

I oto w wysokogórskiej przełęczy Khyber rozegrała się tragedja, okupiona życiem kilkuset ludzi, obarczając winą system „opieki i gwarancji wielkobrytyjskiej". Przebieg wypadków nie jest dotychczas wyjaśniony. Najprawdopodobniej mahometańscy Kurdowie napadli na siedziby Asyryjczyków i dokonali krwawej rzezi. Rząd iracki z królem Fajsalem na czele, starając się zatrzeć wrażenie, jakie wieść o rzezi wywołała w Europie, przedstawia masakrę jako „bezkrwawe starcia pograniczne podczas usiłowania wtargnięcia Asyryjczyków z Iraku do Syrji".

Anglja, przyjąwszy na siebie odpowiedzialność za Irak, musi stanąć w obronie Asyryjczyków i zająć się ich losem. Nie można jednak liczyć na zbyt energiczne żądanie zadośćuczynienia od rządu irackiego. Anglja musi się liczyć z opinją wielomiljonowych wyznawców Islamu, którzy są poddanymi Imperjum brytyjskiego.

Wysłannik londyńskiego Downing - Street ma podobno przypomnieć królowi Fajsalowi klauzule mniejszościowe, których Irak powinien przestrzegać jako członek Ligi Narodów. A jeśli Fajsal przypomni zkolei brytyjskiemu opiekunowi mniejszości samoloty angielskie, które niedawno zbombardowały osady Mohamedów na pograniczu indo-afgańskim?

CZY TO MOŻLIWE?

Robotnik (Nr. 304) donosi:

„Przed kilku dniami zgłosiło się do OKR. PPS. w Krakowie trzech robotników niemieckich, którzy uciekli z piekła hitlerowskiego, z prośbą o umożliwienie im przejazdu do Lwowa, gdzie jeden z nich miał krewnych.

Towarzysze krakowscy wystarali się im w magistracie o ulgowy bilet do Bochni, a stamtąd przy pomocy towarzyszów bocheńskich mieli otrzymać dalszy bilet jazdy.

Tutaj zaczyna się tragedja biednych uchodźców. Po przyjeździe do Bochni i zgłoszeniu się u jednego z towarzyszów, który udzielił im gościny, nad ranem policja aresztowała wszystkich trzech zbiegów, poczem na polecenie starostwa osadzono ich w areszcie. Nie koniec na tem. Po przyjeździe p. starosty Fiali, skazano uciekinierów na trzy tygodnie aresztu za nielegalne przekroczenie granicy (!) z tem, że po odsiedzeniu kary będą odstawieni do Niemiec, inaczej mówiąc, wyda się ich w ręce zbirów hitlerowskich na pewną śmierć!

Wypadek ten musi zrodzić oburzenie u wszystkich ludzi, bez względu na przekonania. Cały świat zwraca się przeciw okrucieństwu Hitlera i jego bandy, cały świat żywi głęboką sympatję dla tych, którzy zdołali wyrwać się z kraju okropności, a jedynie p. Fiala nietylko karze tych ludzi za nielegalne przekroczenie granicy (tak, jak gdyby zbieg polityczny mógł przekroczyć granicę legalnie!), nie zważając na prawo azylu, ale, co gorsza, chce ich wydać na rzeź rozpasanej hitlerji".

Przytaczamy tę informację na odpowiedzialność *Robotnika*. Jeśli ścisła, przyłączamy się do słów protestu i oburzenia.

BUDUJĄCY PRZYKŁAD...

Norymberskie pismo hitlerowskie *Der Sturmer* zamieściło następujące opowiadanie o... bocianach.

„W miejscowości Greiffenberg leśniczy był świadkiem niezwykle ciekawego wydarzenia. Na dachu jednej z zagród para bocianów zbudowała gniazdo, w którem samiczka wysiadywała jajka. Przed kilkoma dniami leśniczy zauważył ze zdziwieniem, że nad gniazdem zgromadziło się kilkanaście bocianów, zataczających coraz niższe koła. W pewnej chwili rzuciły się gromadnie na bocianią matkę i jej niedawno wyklute potomstwo. Rozjuszone ptaki uśmierciły razami dziobów rodzicielkę wraz z jej małemi, a potem zniszczyły doszczętnie gniazdo.

Chłopi ciekawi byli, jakie przyczyny spowodowały taką niszczycielską pasję ptaków. Okazało się, że przed kilkoma tygodniami młodzi chłopcy z pobliskiej wsi zamienili jaja bocianie na kacze. Samiczka, nie podejrzewając niczego, spokojnie wysiadywała obce potomstwo. Przekonała sę o rodzinnej tragedji w chwili, gdy z jaj wylęgły się intruzy. Bocian-małżonek natychmiast odfrunął i wrócił wkrótce w towarzystwie kilkunastu przyjaciół rasowych, z których pomocą uśmiercił intruzów i samiczkę.

Ptakami kierował silny i zdrowy instynkt rasowy, głęboko zakorzeniony w każdem zwierzęciu. Gdyby kobiety, żony i córki Niemców, kierowały się instynktem tych zwierząt, żaden żyd nie ośmieliłby

się zagrażać czystości germańskiej. Jest już najwyższy czas ustanowienia prawa, które zezwoliłoby na zastosowanie wobec Żydów tych samych środków, których chwyciły się ptaki z Greiffenberg".

Powtórzmy te słowa: „Silny i zdrowy instynkt rasowy, głęboko zakorzeniony w każdem zwierzęciu".

O to chodzi: *w każdem zwierzęciu...*

ZACHWYT NIEDOLI

Kurjer Łódzki (Nr. 23) zamieścił wyjątki z listów, pisanych do rodziców przez dziewczęta z kolonji letniej w Sulimowie (pow. turecki). W listach tych dzieci (od lat 8 do 14) dają wyraz swego największego zachwytu i olśnienia wobec rzeczy, z któremi zetknęły się poraz pierwszy w życiu. Naprzykład: oddzielne łóżko, pokój, przeznaczony tylko do spania, albo tylko do jedzenia.

Irenka Lisowska pisze: „Śpimy w oddzielnych sypialniach, każda dziewczynka ma swoje łóżko, ręcznik, proszek do zębów, szczoteczkę i mydło"...

Z listu Melanji Restel: „Jest mi tu jak w raju Jeść dostajemy do syta. Na obiad był rosół z fasolką, kartofle z mięsem. Do jedzenia jest specjalny pokój. Nazywa się jadalnia".

Edzia Kołodziejska donosi matce: „Kochana mamusiu! W naszej sali jest 11 dzieci. Każda ma swoje łóżko. Naprawdę każda jedna".

Anna Kordasówna pisze: „Rano jak wstajemy, to kierowniczka każe myć zęby. Z początku było mi trudno przyzwyczaić się, ale teraz to daję sobie radę. My śpiemy na oddzielnych łóżkach, życie mamy dobre i tyle, ile każda zje. A wszystko się je w jadalni. W jadalni wolno tylko jeść i nic więcej".

PRZYROST LUDNOŚCI

Główny Urząd Statystyczny opracował dane, dotyczące przyrostu naturalnego ludności w szeregu krajów w roku 1932.

Jak wynika z tych danych, przyrost naturalny w Polsce wynosił 444.991 osób, w Anglji wraz z Walją 130.087, w Czechosłowacji 101.640, w Holandji 105.454, w Niemczech 280.266, w Portugalji 89.167, na Węgrzech 45.473, we Włoszech 379.957, w Australji 54.178, w Kanadzie 128.038.

Przeciętnie na 1000 mieszkańców przyrost naturalny wynosił w Polsce 13,7, w Anglji z Walją 3,3, w Czechosłowacji 6.9, we Francji 1.5, w Holandji 13,0, w Niemczech 4,3, w Portugalji 14,5, na Węgrzech 5,2, we Włoszech 9,1, w Australji 8,2, w Kanadzie 12,2.

Pisma klerykalne i nacjonalistyczne szerzyły ostatniemi czasy wiadomości o tem, że przyrost naturalny ludności w Polsce „w zastraszający sposób" maleje, do czego rzekomo przyczyniają się Poradnie Świadomego Macierzyństwa i Liga Reformy Obyczajów. Cyfry, ogłoszone przez Główny Urząd Statystyczny przeczą wiadomościom fałszywym podwójnie: 1) mamy największy przyrost ludności w Europie, prócz Portugalji, 2) akcja Poradni w kierunku zapobiegania ciąży, prowadzona w środowiskach największej nędzy, gdzie odsetek śmiertelności dzieci jest istotnie zastraszający, przyczynia się do zmniejszenia tej śmiertelności, jak również do większej zdrowotności matek, które w braku Poradni — zwiększają plagę poronień, dokonywanych w najgorszych warunkach, sprowadzających najcięższe choroby, a często śmierć.

NOWY PORZĄDEK

Jak od szeregu lat, tak i obecnie, przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego, rozstrząsana jest na łamach prasy sprawa „nadprodukcji inteligencji". Za dużo lekarzy, adwokatów, inżynierów. Rośnie nowy zastęp tych, którzy z trudem wspinają się po drabinie społecznej, a których spotkać musi rozczarowanie najcięższe. Przygotowują sobie przyszłość ponurą, nie zrobią upragnionej karjery życiowej, nie zajmą odpowiednich stanowisk. Przeciwnie, będą się męczyli w walce o byt, zwiększą szeregi niezadowolonych i rozgoryczonych. Już dziś w t. zw. zawodach wyzwolonych sytuacja jest smutna. Będzie gorzej, jeśli się nie osłabi pędu do uczelni wyższych.

Oto biadania i ostrzeżenia aktualne, a zarazem już monotonne, powtarzają się bowiem każdego roku. I nie odnoszą skutku. Pęd do wyższych uczelni nie słabnie. Wbrew wszystkiemu. Wbrew dzisiejszym warunkom i wbrew pesymistycznym horoskopom.

Należałoby się nad tą sprawą zastanowić nieco głębiej.

Był czas, kiedy „nadprodukcji inteligencji" przeciwstawiano argument, że przecież lepiej i zdrowiej zasilać nowym zastępem pracowników — rzemiosło, handel, przemysł, rolnictwo. Poco tak wielka ilość młodzieży garnie się do wykształcenia wyższego, skoro taki a taki teren zajęć leży odłogiem i czeka na nowe, świeże siły? W chwili obecnej ten argument odpadł. Różne tereny „leżą odłogiem", ale na rynku pracy — ciasnota i kryzys. W rzemiośle, handlu, przemyśle, rolnictwie nie widać miejsca na nowe, liczne zajęcia, posady, stanowiska. Wszędzie — tragedja redukcji i bezrobocia. Więc też nawoływaniom przeciw owej „nadprodukcji inteligencji" nie towarzyszy wskazówka realna, co ma robić młodzież wstępująca do wyższych zakładów naukowych. Nie mówi się jej: nie rób tego a tego, rób to a to... Wszelkie ostrzeżenia stają się w ten sposób pustym frazesem. A jednak — powtarzanym nieustannie, każdego roku, jakby z przyzwyczajenia.

Otóż właśnie to przyzwyczajenie zawsze i w najzłośliwszy sposób przeszkadza w rozumieniu nowej rzeczywistości społecznej.

„Nadprodukcja inteligencji" jest w istocie swej tem samem zjawiskiem gospodarczem i ustrojowem, co „nadprodukcja" kawy, nafty, bawełny, czy pszenicy. Jest zjawiskiem niedokonsumcji. Głodni i nieodziani istnieją. Jest ich coraz więcej miljonów. A różne produkty niszczy się w rozmiarach również coraz większych. Oto, naprzykład, najnowsza wiadomość: Brazylja spodziewa się nowego, rekordowego zbioru kawy, który ma wynieść około 30 miljonów worków (po 60 kg.), czyli dwa razy więcej, niż w roku ubiegłym. Jest to w dzisiejszym, kapitalistycznym ustroju wiadomość... smutna. Jedna z „klęsk urodzaju". Nad-

produkcja — przy miljonach głodujących. Więc jednocześnie wiadomość druga: dla uniknięcia spadku ceny kawy Brazylja postanowiła wypuścić na rynek tylko 30% swych zbiorów, drugie 30% zamagazynować, pozostałe zaś 40% zniszczyć. A więc — 12 miljonów worków, czyli 720 miljonów kilogramów kawy — do pieców, albo wprost do morza. Urodzaj i groza bankructw. Znakomite zbiory i fatalna „konjunktura". Tragedja „nadprodukcji" — tragedja ustroju, który wymaga niszczenia artykułów pierwszej potrzeby. A głodni są, głodnych — miljony.

Skoro już jesteśmy na gruncie amerykańskim, przyjrzyjmy się niektórym cyfrom z innej dziedziny „nadprodukcji". Wśród blisko 160.000 lekarzy w St. Zjednoczonych większość znajduje się w biedzie. Nie znaczy to bynajmniej, żeby brakowało chorych. 67.000 dentystów szuka pacjentów, ale to nie znaczy, że obywatele Stanów Zjednoczonych mają wyjątkowo zdrowe zęby. Dentysta siedzi bezczynnie, chociaż sporo ludzi jęczy z bólu zębów. Ta sama sprawa z inżynierami i technikami budowlanymi. Popadli w nędzę, a to znowu nie znaczy, żeby tam nie było miljonów bezdomnych.

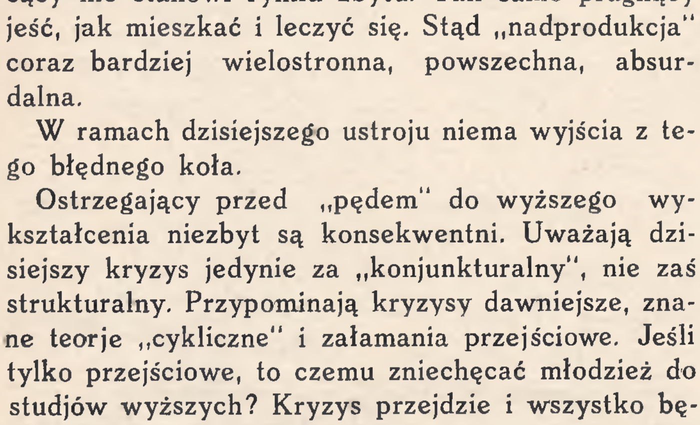
W dzisiejszej gospodarce kapitalistycznej nieprawidłowemu podziałowi dóbr musi towarzyszyć „nadprodukcja" inteligencji. Więc — niszczenie żywności i nawoływanie do redukcji przedstawicieli t. zw. zawodów wyzwolonych. Bez względu na istotne potrzeby społeczne. Bo w stosunku do tych potrzeb, niema za dużo kawy, lekarzy, pszenicy, dentystów, bawełny, inżynierów i t. d. Lecz konsument niepłacący nie stanowi rynku zbytu. Tak samo pragnący jeść, jak mieszkać i leczyć się. Stąd „nadprodukcja" coraz bardziej wielostronna, powszechna, absurdalna.

W ramach dzisiejszego ustroju niema wyjścia z tego błędnego koła.

Ostrzegający przed „pędem" do wyższego wykształcenia niezbyt są konsekwentni. Uważają dzisiejszy kryzys jedynie za „konjunkturalny", nie zaś strukturalny. Przypominają kryzysy dawniejsze, znane teorje „cykliczne" i załamania przejściowe. Jeśli tylko przejściowe, to czemu zniechęcać młodzież do studjów wyższych? Kryzys przejdzie i wszystko będzie w porządku...

Właśnie. W porządku. Tylko — w innym, zgoła innym porządku. Bez „klęsk urodzaju" i „tragedji nadprodukcji", zgodnie natomiast z elementarnemi potrzebami ludzi.

J. Wasowski



PRZEPIS I CZŁOWIEK

Bieżący rok szkolny rozpoczął się pod znakiem nowych programów nauczania. Realizowana z roku na rok coraz obszerniej reforma ustroju szkolnictwa pociągnęła za sobą konieczność stworzenia nowych programów, t. j. wypełnienia programową treścią ustawowych ram, zakreślonych przez ustawę z dn. 11 marca 1932 r. Nowe programy nie objęły jeszcze dotychczas wszystkich klas szkoły powszechnej ani gimnazjum czy przyszłego liceum; tylko dla klas I, II i V szkoły powszechnej i dla klasy I (dawna III) gimnazjum programy te stworzono. Nie można więc jeszcze mówić teraz o całości programowej; ale obowiązująca wspomniane klasy część pozwala już na wyprowadzenie pewnych wniosków ogólnych, a przedewszystkiem pozwala na stwierdzenie, jak wyglądać będzie nowa droga, na którą szkolnictwo nasze wkroczy w całej pełni dopiero za cztery lata.

Nowe programy nie narzucają nauczycielowi zgóry pewnych metod nauczania, jako jedynie dopuszczalnych. Mówią one tylko o minimum wyników, jakie w danej klasie i w danej dziedzinie wiedzy szkolnej powinno być osiągnięte. Jak te wyniki osiągnąć — to już będzie rzeczą nauczyciela, któremu pozostawia się stosunkowo wolną rękę w wyborze metody. *Stosunkowo*, gdyż absolutniej nietyle wolności, ile raczej dowolności być tu nie może. Bo dla takich metod, jak np. zakuwania pamięciowego nie może być miejsca w szkole współczesnej.

Ta swoboda, bądź w wyborze dotychczas stosowanych, bądź we wprowadzeniu nowych, przez samego nauczyciela stworzonych dróg i sposobów nauczania świadczy z jednej strony o coraz bardziej wzrastającem zaufaniu, jakiem się obdarza nauczyciela, z drugiej — o słuszności stanowiska, że ważniejszem jest to, *co* uczeń umie, *czego* się w szkole nauczył i jak to później w życiu samodzielnem praktycznie zastosować potrafi, niż to, jaką stosowano metodę przy „meblowaniu" jego głowy.

Jest to w szkole naszej postęp niewątpliwy. Jakże stosunkowo niedawne są czasy, kiedy nauczycielowi nietylko zachwalano i zalecano, ale nieraz podawano wprost do bezkrytycznego przyjęcia i wierzenia, że jakaś — dajmy na to — „heureza" jest jedyną drogą, prowadzącą do pedagogicznego zbawienia.

Kto się tej jedynej, rzekomo zbawiennej, metody nauczania nie trzymał, kto zwłaszcza miał odwagę przeciwstawić się jej otwarcie — ten uważany był za złego nauczyciela i musiał ponosić wszystkie konsekwencje swego „odszczepieństwa". Ale „heurezy" i inne metodyczne nowalje bankrutowały prędko. Nie zbankrutowała tylko i nigdy nie zbankrutuje prawda, że o skuteczności pracy nad uczniem w szkole decyduje nietyle taki czy inny — choćby najsłuszniejszy i najmądrzejszy—przepis, ale zdolności pedagogiczne, inwencja twórcza i oddanie się sprawie ze strony nauczyciela.

Znany pedagog amerykański, prof. John Dewey, w swej bardzo obecnie rozpowszechnionej pracy p. t. „Moje pedagogiczne credo" tak mówi o roli nauczyciela:

„Sztuka kształtowania zasobów ludzkich i przystosowywania ich do służby społecznej jest sztuką najwyższą i najszczytniejszą; powołani do tej sztuki powinni być najlepsi artyści, bo niema takiej

bystrości umysłu, takiej zdolności wczuwania się w duszę dziecięcą, takiego taktu wewnętrznego, takich wreszcie zdolności wykonawczych, któreby były za wielkie na pełnienie tej służby".

Istotnie — sztuka nauczania jest taką samą sztuką, jak każda inna i wymaga „iskry bożej" od swych kapłanów-artystów. A że artystą być powinien prawdziwie dobry nauczyciel, więc też nie należy uważać go jedynie za posłusznego wykonawcę pewnych obowiązujących przepisów, ale za jednostkę twórczą, umiejącą w samej sobie i z samej siebie wykrzesać ową „iskrę", której tłumić narzucanemi zgóry nakazami nie należy. W naszej własnej praktyce miewaliśmy przecie wypadki, że gdzieś na głuchej prowincji jakiś przedtem zgoła nieznany cichy pracownik stosował w prowadzonej przez siebie szkole własne swoje metody i osiągał wyniki zupełnie niedostępne dla wielu znanych, uznanych i cieszących się wielkiem „powodzeniem" patentowanych pedagogów.

Przy ocenie wartości kształcącej i wychowawczej szkoły kierować się trzeba przedewszystkiem wynikami przez tę szkołę osiąganemi, a nietylko jakością metod w niej stosowanych. Bo co komu z tego przyjdzie, że jakaś szkoła stosuje najnowsze sposoby przy pomocy najdoskonalszych środków — jeżeli uczniowie tej szkoły po wejściu w życie staną na rozdrożu, nie umiejąc sobie ani radzić, ani praktycznie wykorzystać tego kapitału wiedzy, w jaki szkoła powinna była ich zaopatrzyć. Bo życie nie będzie pytać młodocianych abiturjentów szkół: jak też was uczono? jakie stosowano do was metody pedagogiczne, lecz zapyta wprost: co umiecie? i czy wogóle coś umiecie?

I dlatego też z prawdziwem zadowoleniem powitać należy zapowiedź, że w nowej zreformowanej szkole polskiej będzie się przywiązywało wagę nie do tego, czy nauczyciel stosuje jakąś „heurezę", jakiś „plan daltoński", czy jakąś „metodę projektów" — ale do tego, czy nauczyciel ten potrafił należycie przygotować do przyszłej samodzielnej pracy swego ucznia. Pozostawienie względnej choćby swobody dla inicjatywy i twórczości nauczyciela w szkole jest już znaczną i cenną zdobyczą.

Zygmunt Michałowski.

Kto chce przyczynić się do rozwoju niezależnego i poważnego tygodnika, powinien przysparzać prenumeratorów „Epoce"

ODGŁOSY

RUCH W STARYM TEATRZE

Warszawa będzie miała w sezonie bieżącym 14 teatrów. Przeliczmy: Opera w Teatrze Wielkim, Teatr Narodowy, Nowy i Letni, Polski i Mały, Ateneum, Teatr Kameralny, teatr w podziemiach przy ul. Karowej, teatr jednoaktówek (pp. Biernackiego i Trzcińskiego), Teatr im. Stefana Żeromskiego na Żoliborzu, operetkowy „8.30" przy ul. Mokotowskiej z filją przy ul. Chłodnej i teatr dla dzieci „Jaskółka".

A więc — 14 teatrów, nie licząc kabaretów, music - hall'ów i t. zw. rewji w kinach i kawiarniach.

Większość imprez teatralnych zbankrutuje już po paru miesiącach. To zgóry wiadomo. Było mniej teatrów i większość padała. Tem szybciej zbankrutują obecnie. Oto prawdziwa bezmyślność, nieliczenie się z rzeczywistością. Byłoby wielce chwalebne, gdyby stare i nowe imprezy teatralne walczyły pod znakiem wysokich ambicyj artystycznych, kulturalnych, społecznych. Byłaby to walka wbrew wszystkiemu, szlachetna ofiarność i piękna bezinteresowność. Tak dobrze nie jest. Z wyjątkami bardzo nielicznemi są to wyłącznie imprezy handlowe. Nie zasługują przez to na potępienie. Bynajmniej. Każdemu wolno zakładać godziwe przedsiębiorstwo. Jednak gdzie, jak gdzie, ale w handlu obowiązuje przytomność, poczucie rzeczywistości, orjentowanie się w „rynku zbytu". Tu — powtarzamy — wszystko zgóry wiadomo. „Zapotrzebowania" na 14 teatrów w Warszawie niema. W ubiegłym sezonie ani jeden teatr nie wyszedł na swojem. Nauka poszła w las... I znowu będą te same rozczarowania, znowu głodowe zarobki większości aktorów, znowu niedotrzymywanie kontraktów i bieganie po... subwencje, których nie będzie.

Każdy z przedsiębiorców sądzi, że tym razem zginie jego konkurent, a zginą niemal wszyscy. To nawet nie jest gra na loterji. Możnaby sądzić, że to jakieś umiłowanie klęski, przywiązanie do katastrofy, lgnięcie do zguby. Nie. W tej epidemji wielkiego głupstwa, która szerzy się również w innych dziedzinach — tkwi sens głębszy. Widzimy tu proces inercji, nieliczący się z niewątpliwym już przełomem w teatrze. Nie kryzysem, ale *przełomem*, którego przedsiębiorcy teatralni nie widzą. Są to bardzo interesujące typy, jako przedstawiciele upartego przeżytku społecznego. Wszystko się zmienia, wszystko woła o reformę, odmianę, nowinę, a oni sobie — po swojemu, po dawnemu .. Jakgdyby nigdy nic. Wyrastają im pod bokiem nowe, potężne atrakcje, które traktują wyniośle, z lekceważeniem, jako „rodzaj niższy"... (Naprzykład: ich stosunek do kina). Opuszcza ich publiczność, ale nawet ten dość ważny „szczegół" nie zniewala ich do rewizji swoich przyzwyczajeń. Mają swoją „ekonomję polityczną", łatwą, popularną: swoje klęski przypisują „chwilowemu kryzysowi". Więc wniosek: trzeba przetrzymać... Ale właśnie, że nic tu niema do „przetrzymania". Coś się zmieniło bezpowrotnie. Stary teatr umarł. I tego większość przedsiębiorców teatralnych nie zauważyła. Pracują w trupiarni z taką dezynwolturą, z tak dobrem samopoczuciem (Niemiec mówi „leichtgemüht"), z tak niekiedy rzewnym humorem, że dopiero następne, najdotkliwsze lekcje rzeczywistości zorjentują ich, w jaki to po-

padli beznadziejny impas. Nie żąda nikt, żeby wszyscy przedsiębiorcy teatralni byli reformatorami teatru. Za dużo byłoby reformatorów. Większość przedsiębiorców teatralnych pracuje poprostu niepotrzebnie, bez celu i sensu. Posłańcy zrozumieli, co to znaczy — telefon. Posłańców jest teraz bardzo mało. Dorożkarze rozumieją, co to jest samochód. Ilość dorożkarzy zmniejsza się na świecie. Kaligrafowie dostrzegli znaczenie maszyny do pisania. Kaligrafów jest coraz mniej. Ilość dyrektorów teatrów nie chce się zmniejszyć. Ale publiczność nie bierze tego pod uwagę...

Argument „kryzysowy" jest tu fałszywy: wszystkie sfery społeczeństwa wydają na kino więcej w ciągu, powiedzmy, miesiąca, niż kiedykolwiek wydawały miesięcznie na teatr.

Sprawa repertuaru w teatrach przeżytkowych jest tragiczna. Nikt w tych teatrach nie ułoży i nie może ułożyć niezawodnego repertuaru, któryby stale przyciągał publiczność. Bo i literatura teatralna wkroczyła w fazę przełomu, a dawna nie da się wciąż modernizować, stylizować, galwanizować.

Oto tragedja inercji i dezorjentacji. Żałosne figury przedsiębiorców teatralnych negują rzeczywistość, robią jeszcze dużo zamieszania, ale oddalają się wciąż od dnia dzisiejszego, aż zginą we mgle przeszłości — jak wszystkie żywe anachronizmy, z któremi czasy nasze nie żartują.

J. W.

SŁOWA SŁUSZNE I NIESŁUSZNE

Na XVIII-tym kongresie sjonistycznym, odbytym w Pradze, uchwalona została, między innemi, rezolucja w sprawie położenia Żydów w Niemczech. W słowach gorących założono słuszny protest przeciwko odebraniu Żydom niemieckim praw ludzkich i obywatelskich, przeciwko ohydnemu znęcaniu się nad bezbronnymi. Żaden protest nie może być zbyt mocny, kiedy ma się do czynienia z bezecnem prześladowaniem.. Bezeceństwo rządów hitlerowskich wyraża się najjaskrawiej w tem, że Żydom, pozbawionym praw i źródeł utrzymania, utrudnia się, albo uniemożliwia wyjazd z Niemiec. Mogą wyjeżdżać, ale — bez pieniędzy, ściślej mówiąc — tylko z drobną sumką. Żyd prześladowany może emigrować, ale jedynie, jako nędzarz, włóczący się po krajach, do których go wpuszczą. Rząd niemiecki chce się pozbyć Żydów, ale po uprzedniem obrabowaniu ich z majątku. Zastanawiano się też na kongresie sjonistycznym w Pradze nad sprawą emigracji Żydów niemieckich do Palestyny, a ostatnio toczą się podobno w tej sprawie pertraktacje z państwem, rządzonem przez nieprzytomnych zbirów.

W protestującej rezolucji kongresu sjonistycznego znajdujemy zwrot następujący: „...przeciwko zakłóceniu religijnych potrzeb życia, wyrażającem się w postaci np. zakazu uboju rytualnego".

Rzecz prosta, że hitlerowcy nie wydali tego zakazu z motywów humanitarnych. Na takie motywy nie mogą zdobyć się ludzie zdziczali i nie znający ludzkich uczuć dla... człowieka. Hitlerowcy chcieli i w tej sprawie dokuczyć Żydom ortodoksyjnym. Ale ten zakaz *w istocie swej* jest humanitarny. Takiego samego zakazu domaga się Polskie Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt, a instytucji tej z tego powodu nikt nie posądza o... antysemityzm. Zasada tolerancji religijnej, zasada wolności wyznania musi się godzić z zasadami humanitarnemi i cywilizacyjnemi. To też świat cywilizowany nie protestował, naprzykład, przeciwko postępowaniu władz angielskich, które nie tolerowały starodawnego, religijnego obyczaju palenia wdów na stosie, praktykowanego wśród niektórych plemion indyjskich. Anglicy słusznie „zakłócali" takie „religijne potrzeby życia" i po wielu latach zwalczyli ten straszliwy obyczaj. Rytualny ubój bydła nie godzi się z zasadami humanitarnemi, przeto ta część rezolucji kongresu sjonistycznego obudzić musi słuszny sprzeciw ze strony tych, którzy całkowicie solidaryzują się z obroną gwałconych praw człowieka i obywatela w Niemczech dzisiejszych.

ZNALEZIONO WYJŚCIE

Zwracaliśmy już uwagę w „Epoce" na nowy — jakże zrozumiały — objaw dzisiejszego chaosu: na sytuacje, w których człowiek pragnie się dostać do więzienia. Z nędzy, chłodu i głodu, z utrapień najokropniejszych — do jedzenia, ciepła i „mieszkania". Wszędzie też znane już są wypadki, kiedy bezrobotny umyślnie popełnia jakieś przestępstwo, żeby się dostać do celi więziennej. W ten sposób więzienie staje się przytułkiem, kara — pożądanem wytchnieniem. W rezultacie — tragikomedja i paradoks, jeden z wielu, które składają się na współczesną degrengoladę społeczną.

Najwięcej przestępstw, popełnianych w tym zamiarze, zdarza się w St. Zjedn. Am. Poł. Poprostu dlatego, że tam bezrobotnych najwięcej: obecnie blisko 14 miljonów.

Korespondent *Kurjera Porannego*, p. Edw. Paciorkowski, opisuje straszliwe położenie bezrobotnych amerykańskich. Oto parę urywków:

„Na ogólną liczbę bezrobotnych 1.250.000 w Nowym Jorku, 250.000 nie ma dachu nad głową, nie ma zresztą nic. Stare podarte ubranie stanowi cały ich majątek. I to jest wszystko. Patrzą na piękne wystawy sklepów, na bogate auta, przejeżdżające przez ulice. Są jakgdyby poza nawiasem życia. Spotykam ich na każdym kroku. Czasami proszą o papierosa, lub o pięć centów. Można za nie dostać filiżankę kawy i sandwicz. Przeżyć cały dzień.

„Jesteśmy na Times Square w pełni świateł, reklam, kin i teatrów. Stajemy obok gmachu „Times'a", aby przeczytać biegnący świetlny dziennik, mówiący nam o nowej erze prosperity, mającej nastąpić wkrótce w Ameryce. Dawniej przy siódmej Avenue można było uszczknąć bezpłatnego sandwicza. Jeszcze parę miesięcy temu olbrzymi ogonek ludzkiej nędzy czekał na kubek gorącej kawy i bułkę, rozdawane bezpłatnie przez filantropijne towarzystwo. Odbywało się to w godzinach, kiedy tłumy zadowolonych ludzi szły do kin i teatrów śródmieścia. Skończyło się i to. Związek właścicieli teatrów zaprotestował przeciw zniechęcaniu zamożnej publiczności, nie lubiącej nędzy i zmuszaniu jej do patrzenia przed wesołem widowiskiem na gromady głodnych nędzarzy.

„Wchodzimy do Central - Parku. Jeszcze tylko po drodze wyciągamy z ulicznych śmietniczek olbrzymie foljały gazet, które ochronią nas przed wilgocią ziemi i nocną mgłą i będą nam służyć za prześcieradło, kołdrę i poduszkę. Na olbrzymich połaciach trawników już pełno. Tysiące ludzi leży na ziemi. Sprawia to wrażenie jakiegoś pobojowiska. Pobojowiska prosperity. Tysiące ludzi pozawijanych w białe szmaty papieru wygląda jak upiory lub dziwne larwy.

„Istnieją specjalne sekcje olbrzymiego parku. W samem centrum, w zaułkach, kryją się bezdomni nędzarze, z lepszej sfery, którzy w dzień usiłują udawać jeszcze prawdziwych ludzi, mających rodzinę, dom, pracę. Istnieją trawniki murzyńskie, pełne czarnych, zawodzących czasami smętne piosenki.

„Obok małego klombu siedząca gromadka. Dan mówi mi: „Irlandczycy, piją". Widzę rzeczywiście dużą butlę, krążącą z rąk do rąk. Piją oczyszczoną benzynę z domieszką denaturatu. Nazywa się to „smoke". Za 15 centów można dostać butelkę, którą się miesza z wodą. Tworzy się wówczas białawy mleczny płyn, którym upić się może kilkanaście osób. Właściwie wprawiają się w stan zatrucia, zamroczenia. Czasami miewają konwulsyjne drgawki, ale zapominają o wszystkiem. O tem, że są bez pracy, bez jutra".

A wśród tych gromad nieszczęsnych snuje się — marzenie... Jakie? Czy o dobrobycie, zabawie, szczęściu, sprawiedliwości? Nie, nie tak górnie, nie tak fantastycznie:

„Marzeniem dla nich jest pobyt w szpitalu, albo w więzieniu. Ale o szpitalu nie można nawet myśleć, a do więzienia dostać się bardzo trudno. Stosunek policji i władz do bezdomnych jest inny, niż do normalnych ludzi. Za małe przestępstwo, czy wykroczenie niema dla nich kary aresztu. Aresztu, który mógłby być świetnym urlopem: cela, łóżko, regularne jedzenie. W stosunku do bezdomnych panuje inna, doraźna sprawiedliwość. Za przewinienie dostaje ciężką policyjną pałką, zrobioną z giętkiego drzewa „hickory" w łeb. Nawet jeżeli dostaną się przed sąd — sędziowie wyrzucają ich bez rozpoznawania sprawy."

A więc — znaleziono wyjście. Więzieniom amerykańskim groziło przeludnienie, a samej idei kary— ironja i szyderstwo. Tedy zamiast celi więziennej — pałką w łeb. Ale to jest wyjście prowizoryczne. I ono może zawieść. Jeżeli tą drogą pójdzie amerykańskie załatwianie sprawy bezrobotnych przestępców, pragnących się dostać do więzienia, to może im wpaść do głowy myśl, że — widać — drobne przestępstwo to za mało dla osiągnięcia upragnionego celu. Zaczną może popełniać przestępstwa większe, poważniejsze. Wówczas pobicie wyda się policji amerykańskiej środkiem słabym, a sądy St. Zjednoczonych nie będą tego rodzaju przestępców puszczały z kwitkiem.

Tak na gruncie amerykańskim wygląda i tak się może zarysować droga moralności społecznej w tej dziedzinie.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

DWIE REWOLUCJE

Jak różne mogą być metody i sposoby odtwarzania wielkich zdarzeń politycznych, świadczą o tem dwie głośne książki, które ukazały się w przekładzie polskim: Th. Pliviera „Cesarz odszedł, generałowie zostali"*) i Lwa Trockiego „Historja rewolucji rosyjskiej"**). Pierwsza — to obraz listopada 1918 roku w Niemczech, druga — opis przebiegu pierwszej fazy rewolucji bolszewickiej w październiku roku 1917-go.

Plivier konstruuje modny dziś „faktomontaż", posługując się metodą Dos Passosa w podawaniu jednoczesnych epizodów, które nagromadza bez liku. Wywołuje przez to efekt do pewnego tylko stopnia zamierzony: efekt wielobarwnego chaosu, ruchu, zamieszania, wznoszenia się fali wydarzeń i wzrastającego tempa kalejdoskopu. Ale zarazem osłabia niebacznie siłę wrażenia: właśnie przez nadmiar epizodów, który rozprasza skupienie czytelnika. Za dużo scen, scenek, faktów i faktów i fakcików. Niektóre — wstrząsające, pełne dramatycznego napięcia i wymowy syntetycznej, inne — mniej ważne, albo zgoła zbędne. Brak tu umiaru i celowości zarówno w gromadzeniu faktów rzeczywistych, jak i w „ubarwianiu" historji przez pomysły „kompozycyjne". Bo ze względów „kompozycyjnych" Plivier zmienił to i owo w przebiegu zdarzeń, o czem sam pisze w „posłowiu", albo też „powiązał" kolejność rzeczy nicią... literacką, wyobraźniową. W rezultacie — ani praca historyczna, ani reportaż, ani utwór literacki. Wszystkiego potrochu. Nie można tej wielce efektownej pracy uważać za najrzetelniejszy dokument, chociaż autor sto scen i obrazów schwycił — jak to się mówi — na gorącym uczynku i utrwalił w swej książce. Rzecz godna przeczytania ze względu na niektóre rozdziały, które dobrze pomagają w rozumieniu tej linji, jaka prowadzi od przewrotu republikańskiego 1918 r. do zwycięstwa Hitlera. Plivier w sposób bardzo plastyczny wyjaśnia, jak to się stało, że „generałowie zostali".

Do innej całkiem kategorji prac należy dzieło Trockiego. I tu również — obraz rewolucyjnego chaosu. I tu sceny wyjątkowe burzycielskiego i twórczego szaleństwa. I tu — tempo zawrotne wydarzeń. Lecz — różnica kapitalna — żadnych w opisie „powiązań" literackich, żadnych uzupełnień kompozycyjnych. Tylko fakty i tylko dokumenty, przytem jedynie — najważniejsze, istotne, te, które zaważyły na szali dziejów rewolucji. Cały balast szczegółów, choćby efektownych, odrzucony. A i rzeczy ważne, najbardziej wymowne, decydujące — ujęte w skrótach lapidarnych. Przez to bynajmniej wielki obraz rewolucji nie wypadł mniej „barwnie". Rzeczywistość takich okresów — dobrze widziana — w swem bogactwie, niezwykłości „sensacyjności" prześciga wszystkie wizje literackiej wyobraźni, nie wymaga jej dodatków dla „wzmocnienia" efektu.

Plivier był świadkiem i archiwistą, Trocki — jedną z naczelnych postaci rewolucji, głównym — obok Lenina — jej organizatorem. Widział lepiej i odczuwał mocniej treść istotną wielkich przeobrażeń, niż Plivier na gruncie niemieckim. Abstrahując od sympatji czy antypatji dla osoby autora, należy stwierdzić, że Trocki jest pisarzem wielkiej miary, o czem już świadczyły liczne jego pisma dawniejsze, a ostatnio dzieło autobiograficzne p. t. „Moje życie".

*) *Th. Plivier:* Cesarz odszedł, generałowie zostali. U źródeł tragedji Niemiec. Przekład Tadeusza Błudowskiego. Nakładem księgarni M. Fruchtmana. Warszawa 1933.

**) *Lew Trocki:* Historja rewolucji rosyjskiej. Rewolucja październikowa. Część I. Przekład Jerzego Kamieńskiego i Bolesława Tarczyńskiego. Nakładem Spółki Wydawniczej „Bibljon". Warszawa 1933.

W „Historji rewolucji rosyjskiej" mamy również pewne „dodatki", ale innego rodzaju, niż u Pliviera. To ów „subjektywizm" — nie w notowaniu faktów, lecz w ich oświetlaniu. Zagadnienie subjektywizmu i objektywizmu w opisie historycznym porusza sam autor w przedmowie. Pisze oto:

„Dowodów objektywizmu naukowego szukać należy nie w oczach historyka i nie w intonacji jego głosu, lecz w wewnętrznej logice samej opowieści: jeżeli epizody, świadectwa, cyfry, cytaty odpowiadają ogólnym wskazówkom igły magnesowej analizy społecznej, wówczas czytelnik posiada najważniejszą rękojmię naukowego uzasadnienia wywodów".

Jest to ujęcie sprawy bardzo trafne.

Na zarzut „niedopuszczalnego subjektywizmu" — Trocki odpowiada:

„Zasada filozofji Spinozy: „Nie płakać, nie smiać się, lecz rozumieć" przestrzega jedynie przed niestosownym śmiechem i niewczesnemi łzami, lecz nie pozbawia ona człowieka, chociażby nawet historyka, prawa do łez i śmiechu, kiedy są one usprawiedliwione słusznem rozumieniem sprawy".

Niewątpliwie. Choć tu jeszcze pole otwarte do dyskusji: czy rozumienie sprawy jest słuszne, czy też niesłuszne . Tak czy owak, całkiem zrozumiałe i nieuniknione u człowieka czynu nastawienie subjektywne nie odjęło temu kapitalnemu dziełu niepospolitej wartości historycznego dokumentu.

M. Czarnowski.

WŁADCA WOLNOŚCI

W dobie ścierania się indywidualizmu z kolektywizmem sędzia, rozgraniczając przy stosowaniu ustawy karnej sferę praw zbiorowości i praw jednostki, jest czynnikiem o szczególnie doniosłem znaczeniu. Osoba, sędziego staje się podstawowem zagadnieniem nowoczesnego prawa karnego. Nauka prawa poświęca mu coraz większą uwagę. Sędzia i przestępca są dziś biegunami, między któremi rozpięta jest nowoczesna kryminologja i prawo karne. Przestępca jako podmiot przestępstwa, sędzia jako rzecznik sprawiedliwości.

Zagadnieniu sędziego w obliczu nowoczesnego prawa karnego i kryminologji poświęcił cenne studjum dr. R. Lemkin*). W pierwszej części monografji omawia władzę sędziego karnego w świetle ustawodawstwa i przemian społeczno-politycznych; w części drugiej objaśnia podstawy wymiaru kary i ich wpływ na funkcję sędziego, a końcowa część trzecia poświęcona jest specjalizacji sędziego karnego.

Minione dziesięciolecie było okresem szeroko zakrojonych reform w dziedzinie prawa karnego w szeregu państw europejskich i pozaeuropejskich, które wprowadziły lub wprowadzają nowe kodeksy. Przyczyny tego ruchu reformatorskiego tkwią w przemianach społecznych i politycznych, jakie dokonały się w świecie powojennym oraz w przeobrażeniach samej nauki prawa karnego. Przewartościowanie pojęć — rodziny, własności, państwa — rzuciło silny refleks na regulację stosunków socjalnych. Zmiany kodeksowe mają doniosły wpływ na sytuację jednostki. Kodeks zakreśla granicę wolności jednostki, której wolno czynić wszystko, co nie jest przez ustawę zakazane. Dla gwarancji praw jednostki ważna jest jasna, przejrzysta i pełna kodyfikacja, która wyraźnie określa, *za co i jak* jednostka będzie ukarana. Kodeks taki powinien być szczegółowym i dokładnym katalogiem nietylko przestępstw, lecz i sankcyj. Tam natomiast, gdzie sfera uprawnień indywidualnych ustępuje miejsca interesom zbiorowości, kodeks ma kształt ramowy, syntetyczny bądź fragmentaryczny, jest oparty na pojęciach ogólnych, dopuszczających rozległą interpretację. Dr. Lemkin słusznie zaznacza, że taka mniej sprecyzowana sfera praw jednostki zwiększa oczywiście władzę sędziego, który mniej jest skrępowany i dlatego łatwiej wkracza w zakres podstawowych niekiedy praw człowieka.

Racjonaliści bronili praw jednostki przed omnipotencją władzy karzącej. Encyklopedyści walczyli przeciwko ujarzmieniu obywatela przez państwo, sprzeciwiali się nawet interpretacji ustawy przez sędziego. Dążność racjonalistów do pełnej kodyfikacji, tendencje legalizmu, które miały zastąpić bezprawie epoki absolutyzmu, odniosły zwycięstwo w rewolucyjnej „Deklaracji praw człowieka i obywatela". Z okresu Wielkiej Rewolucji francuskiej władza sędziego wyszła oczywiście ograniczona i osłabiona. Liberalistyczny wiek 19-ty idzie po linji dalszego zwężenia tej władzy. Początek 20-tego stulecia zapowiada przełom w tej dziedzinie. Szkoła pozytywna proklamuje zasadę ochrony społecznej. Sędzia uzyskał bardzo duże kompetencje w zakresie t. zw. środków zabezpieczających, które zmierzają do socjalnego unieszkodliwienia przestępcy przez jego poprawę lub izolację. Objektywne kryterjum wymiaru kary (wielkość wyrządzonej krzywdy) zastąpiono nieokreślonem kryterjum „stanu niebezpieczeństwa", prowadzącem do rozszerzenia swobodnego uznania sędziowskiego. Mimo nieprzychylnego przyjęcia tych koncepcyj szkoły pozytywnej przez naukę, zostały one w dużej części zrealizowane przez szereg kodeksów karnych, które ograniczają sferę praw indywidualnych, co idzie po linji tendencyj antyliberalnych. Ingerencja państwa w osobistą sferę obywatela jest dziś większa, niż kiedykolwiek.

Współczesne kodeksy karne posiadają formę zwartą, syntetyczną w odróżnieniu od dawnych, których redakcja była kazuistyczna, szczegółowa. Podczas gdy np. nasze kodeksy dzielnicowe omawiają kradzież w kilkunastu artykułach, odróżniając kradzież w nocy i w dzień, z włamaniem i bez, kradzież broni i kradzież koni etc..., to syntetyczny kodeks polski z roku 1932 zamyka całą kwestję kradzieży w jednym jedynym artykule. Ustawodawca dawniejszy ustalał nietylko typ przestępstwa, lecz starał się także dokładnie przewidzieć wszelkie jego odmiany. Taka technika ustawodawcza ograniczała władzę sędziego. Kodeks nowoczesny podaje tylko ogólne pojęcie przestępstwa, stwarzając dla sędziego rozległą swobodę. Niektóre kodeksy, nie zadawalając się syntetyczną formą, w obawie, że nie podoła ona wymogom życia, wprowadzają zasadę analogji. Często, dla danego przestępstwa brak jest w kodeksie określonej normy, wtedy kwalifikuje się je na podstawie analogji z normą niejako synonimiczną, „bliskoznaczną". (Zasadę tę wprowadziła nietylko Rosja Sowiecka, lecz np. i Danja). Zasada analogji wypełnia luki ramowych formuł nowoczesnego usta-

*) *Dr. R. Lemkin:* Sędzia w obliczu nowoczesnego prawa karnego i kryminologji. Nakładem Instytutu Kryminologicznego Wolnej Wszechnicy Polskiej. Warszawa 1933.

wodawstwa. Zresztą, ramowość ta jest koniecznością dzisiejszego życia, w którem nurt przemian ustrojowych i politycznych, wzrastająca współzależność ludzi i spraw, stwarza coraz to nowe wykroczenia, o których ustawodawstwu ani się śniło. Elastyczna, syntetyczna forma ustawodawcza jest najbardziej dostosowana do wymagań współczesnego życia, rozszerzając władzę sądów i grożąc znacznem często niebezpieczeństwem prawom jednostki.

Zkolei omawia autor nowoczesną zasadę subjektywizmu, która oznacza dla sędziego możność daleko sięgającej ingerencji w dziedzinę praw jednostki. Subjektywizacja prawa karnego pozwala na wgląd sędziego w wewnętrzny świat psychiki przestępczej. Zainteresowanie się stosunkiem przestępcy do przestępstwa, analiza jego psychiki w związku z czynem karalnym — sprawiły, że do prawa karnego wkroczył żywy człowiek. Ten proces „personifikacji" odzwierciedla nowoczesne tendencje prawa, które każą interesować się przedewszystkiem przestępcą, a nie przestępstwem. W ustawodawstwie pojawiają się coraz liczniejsze i różnorodne typy przestępców (np. zawodowy, z nawyknienia, niebezpieczny dla porządku prawnego), kwalifikacja jednak tych typów pozostawiona jest uznaniu sędziego. Typologja przestępcza staje się nową, olbrzymia domeną swobodnego uznania sedziowskiego.

Najważniejszą czynnością sędziego jest stosowanie kary. Kwestja ta najżywiej interesuje opinję publiczną. Nie obchodzi jej, czy sąd zakwalifikował czyn jako oszustwo, szantaż czy wymuszenie, lecz — czy wymierzono przestępcy trzy miesiące, czy trzy lata więzienia. Jeden z wybitnych prawników niemieckich wyraził się, że na żadnem polu pracy, nie wykonywa się tak często pracy tandetnej (Pfuscharbeit), jak właśnie w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości. Jakże często w praktyce sądowej decyduje przy wymiarze kary przypadkowość, nastrój sędziego, szablon i rutyna. Rok więcej czy rok mniej — słowa te nie posiadają zbyt dramatycznej wymowy w codziennej, pospiesznej praktyce sądowej. A dla skazanego rok oznacza 365 dni wędrówki wzdłuż i wszerz dusznej celi, tęsknoty do najbliższych osób, do wolności i światła.

Dla wymiaru sprawiedliwości duże znaczenie posiada znamienna dla ostatnich czasów ewolucja poglądów na istotę kary. Nowoczesne prawo zrywa z pojęciem kary jako zemsty, wyrównywującej pomiędzy przestępcą a społeczeństwem rozrachunki z tytułu popełnionych przestępstw. Dziś chodzi przedewszystkiem o to, aby kara *powstrzymała* przestępcę od popełnienia przestępstw w przyszłości. Prawo wkracza dziś na teren kary celowej i prewencji specjalnej, której przesłanką jest osoba przestępcy: „Nie czyn, lecz sprawca winien być ukarany". Czyn przystępcy stanowi jedynie symptom antyspołecznych tendencyj, tkwiących w sprawcy i dlatego przestępstwo zajmuje miejsce wtórne w stosunku do osoby przestępcy. Wymiar kary musi być indywidualizowany. Dlatego nowoczesne kodeksy nie ustalają absolutnej wysokości kar. Ustawa wskazuje tylko ich górne i dolne granice i to z reguły bardzo rozpięte. Powoduje to wzrost władzy sędziego i w dziedzinie wymiaru kary. W niektórych wypadkach ustawodawca daje tak znaczną swobodę sędziemu, że nie wiąże go wcale oznaczeniem minimum bądź maksimum kary, wskazując jedynie *rodzaj kary*. W dążeniu do indywidualizacji kary ustawodawca posuwa się niekiedy tak daleko, że rozszerza władzę sędziego o prawo uwolnienia od kary. Człowieka, który z głodu kradnie chleb, nie należy karać, a raczej nakarmić. To humanitarne i słuszne stanowisko znalazło wyraz np. w kodeksie polskim (kradzież przedmiotu małej wartości z nędzy celem natychmiastowego spożycia — art. 257).

W nowoczesnem ustawodawstwie znika typ szablonowego przestępcy, a jego miejsce zajął żywy człowiek, którego sędzia powinien jaknajdokładniej poznać. Przestępstwo jest sygnałem alarmującym, który zwrócił uwagę społeczeństwa na danego człowieka. Przestępstwo samo przez się nie jest kluczem do duszy sprawcy. Jest nim — poznanie całokształtu życia, psychiki i środowiska. Tylko wówczas sędzia będzie mógł spełnić podstawowe swe zadanie — stwierdzić, czy oskarżony zdolny jest do popełnienia *nowego przestępstwa.*

W poszukiwaniu kryterjów dla poznania i zrozumienia oskarżonego, sędzia musi się zwrócić do nauki o człowieku-przestępcy, zapoczątkowanej już w 19-tym wieku przez Lombrosa.

Dzisiejsze badania kryminalnej biologji ujmują przestępstwo *genetycznie*, jako zjawisko, w którem tkwi historja całego życia człowieka i w którem objawiają się jego stosunki rodzinne, obyczajowe, narodowościowe, ekonomiczne (wpływ nędzy, alkoholizmu.).

Postulat takiej analizy wymaga — stwierdza dalej dr. Lemkin — włączenia do postępowania sądowego specjalnej fazy rozpoznawczej, a przedewszystkiem — organizacji zbierania wiadomości o osobie przestępcy. Pierwszą próbę realizacji badań środowiskowych na szerszą skalę spotykamy w postępowaniu z nieletnimi, które można traktować jako pewnego rodzaju wzór nowoczesnej walki z przestępczością. Wszystkie niemal ustawy każą uwzględniać szereg okoliczności, rzucających światło na osobę nieletniego i stopień rozwoju umysłowego i moralnego, warunki życia i wychowania, stosunki materjalne i rodzinne. Poszczególne ustawy uwzględniają też postulat współpracy społeczeństwa z sądem w zakresie zbierania materjałów „środowiskowych" o nieletnim (opieka społeczna nad nieletnim). Nauka domaga się rozszerzenia na przestępców dorosłych — badań, stosowanych w stosunku do nieletnich. Bo czyż przekroczenie pewnego wieku może być wystarczającą racją dla zwolnienia sędziego od obowiązku gruntownego i wszechstronnego poznania osoby przestępcy?

**
*

Cenne swe studjum, przejrzyście skonstruowane i napisane w sposób jasny, dostępny dla laika, kończy autor słowami troski o gwarancję praw, czci i sumienia jednostki: „...Największy i najważniejszy wymóg, to ten, by na fotelu sędziowskim zasiadał żywy człowiek, aby pod togą biło żywe, czujące serce. Rzymianie, którzy wytworzyli wielkich sędziów, mieli przysłowie, które żyć winno po wszystkie czasy: „Pectus facit jurisconsultum" — Serce tworzy sędziego".

Józef Szpecht

PAMIĘCI ABRAMOWSKIEGO

Przez długie lata twórczość artystów była dla nas życiodajną *somą*, trzymającą w czujności chory organizm polski.

Obecnie poezja i malarstwo zostały zwolnione ze spełnianej jeszcze do niedawna misji wychowawczej, narodowej i społecznej. Mogą więc już rozkwitać i kwitnąć jako przejaw ogromu twórczej duszy ludzkiej, niekrępowane celem ani programem dni, lat, doraźnych, czy dalszych potrzeb, — służąc kulturze, najlepiej i jedynie tem, że są, — zapachem swym i blaskiem uzdrawiając powietrze życia. To chyba wystarcza.

Niema wszakże jednostki, a zwłaszcza zbiorowości, które mogłyby się rozwijać bez przewodników, mających oczy, zwrócone ku gwiazdom.

W dzisiejszym stanie rzeczy na świecie rolę wieszczów przejęli, *przejąćby winni*, myśliciele, filozofowie, etycy.

Bo lata teraźniejsze nabrzmiały sprawą kształtowania się wewnętrznych stosunków międzyludzkich. Pomimo niemal stałego już operowania w życiu i w teorji kategorjami zbiorowości, troska o człowieka, jako elementu, warunkującego ład, spoistość i zdrowie gromady — wzrasta. Zasięg poczynań społecznych staje się olbrzymi, opieka nad jednostką coraz bardziej celowa i wielostronna. U nas zwłaszcza w zestawieniu z czasami przedwojennemi rozrost i rozpiętość działań społecznych uderza i zdumiewa.

Fala uspołecznienia wzbiera i rozlewa się po całym kraju. W obudzonem niepodległem życiu dobierają się ludzie i skupiają we wszelkiego rodzaju grupy, zrzeszenia i związki. Ruch ten ze *świadomie chcianego* i powodowanego staje się już potrzebą życia, żywiołem.

Sztuka wśród tych rozfalowań i prądów może się oczywiście realizować, lecz działanie jej na wyobraźnię i uczucie, rozsiane i nieuchwytne, porównaćby można do tchnienia ozonu w powietrzu, oczyszczonem przez burzę. Rolę osi i cementu, a zarazem przepalającego tę obudzoną aktywność społeczną ognia, spełnić mogą jedynie *myśli ludzi wiedzących*.

Zalecamy obecnie zdrowie fizyczne, tężyznę, sprawność i zaradczość życiową. Dobrze — ale to zaledwie cząsteczka dobrodziejstwa niepodległości. Sprawa „czerepa rubasznego" nie przestała być aktualną i kto wie, może nawet zyskała na wadze.

W odruchach „zdrowego" egoizmu bywamy conajmniej brutalni. Nasza świeżość prymitywów i prostaków (nie Parsifalów wszakże) graniczy zbyt często z chamstwem. W „zbiorowości" łatwo (jakże łatwiutko!) rozpływa się nasza osobowość psychiczna — fizyczna nie przestaje się rozpierać — zrzekając się pochopnie ambicji do bycia *kimś*.

Przy takich konjunkturach indywidualnych gromady mogą niepostrzeżenie przeobrazić się w stada, — a życie zbiorowe, zdolne upodobnić się do życia republik greckich, może zwyrodnieć w bytowaniu, pozbawione ideowości, zamknięte w przepisach i zaspakajane ubogim schematyzmem paragrafów.

Niebezpieczeństwo postponowania duchowych wartości, tak wyraźnie przejawione w Europie, pokusa przekreślenia jednym zamachem ideałów, przepracowanych przez najwyższych przedstawicieli ludzkości, może i nas ogarnąć.

Należy więc szukać antidotów przeciwko prostactwu i łatwości myślenia i czynu społecznego w poważnem zgruntowaniu zagadnień, dotyczących spraw jednostki i społeczeństwa.

Stało się tak, że właśnie posiadamy książki — *testament* człowieka, który nas opuścił przed samą niepodległością, — dając w tych kwestjach probierze najszlachetniejszego gatunku. Pozostały prace uczonego, rozumiejącego do głębi istotę zjawiska społecznego i wierzącego, że w życiu zbiorowości może być zrealizowane dobro i szczęście ludzi.

Mam na myśli pisma społeczno - etyczne i psychologiczne *Edwarda Abramowskiego*.

Rozsiane po wsze czasy ziarna dobra i dobrej nowiny człowiek ten na nowo odczuł i jakby znów odnalezione, uprzytomnił i w nowej, dzisiejszej formie podał. Miłość bliźniego, poszanowanie cudzej wolności, wzajemna pomoc, piękno pełnego życia, stwierdzenie, że jedynem złem jest krzywda ludzka — oto każdemu bliska treść jego naukowych uzasadnień.

Te proste wskazania życia, których istotę od dziecka w sobie nosił, stały się kwintesencją jego teoryj, zapowiadających i udowadniających konieczność przeobrażenia się świata. Podstawą ich jest *wiara w człowieka*, w możliwość jego postępu moralnego. Następstwem tego postępu będzie „wytworzenie się nowych uczuciowych stron duszy", które spowodują „rewolucję moralną" — nowe sumienie — nowy kształt życia społecznego. „Sumienie człowieka jest rodnikiem świata społecznego".

Głęboki humanitaryzm zdecydował o kierunku jego studjów i zainteresowań. Oddźwiękliwość na zło społeczne uczyniła go socjalistą. Badanie istoty ludzkiej, psychicznych i materjalnych warunków jej pomyślnego rozwoju i czynników zamierania, krytyczna ocena ujemnych wyników stosowania schematów i ryczałtowości do człowieka, „pragnienie wyzwolenia go z jarzma rzeczy i przymusu społecznego" wprowadziły Abramowskiego na tory anarchizmu i przeciwstawiania się niwelującym i standaryzującym następstwom etatyzmu.

W człowieku widzi wiecznie żywe źródło, początek i powód najgłębszy zmian i ewolucji świata: „doszukiwał się we wszelkiej abstrakcji społecznej oblicza ludzkiego", „pragnął odnaleźć *węzeł życiowy*, którego wyrazem są tylko formy kategorji społecznych" (Krzeczkowski).

Stąd też zagadnienie ewolucji społecznej zostaje przeniesione wgłąb, rozszerzone i rzucone w perspektywę najwyższych i najdalszych przeznaczeń ludzkości. Należy dążyć do wytworzenia takich warunków życia, przy których natura ludzka zdolna będzie w sposób prosty i normalny przejawić swe dobro, zlać, zidentyfikować egoizm swój z altruizmem.

Ideał braterstwa nosimy w sobie; jest on naszą intuicją. Istotą jego i podstawą jest odnajdywanie siebie w innych (tożsamość ludzka). Stanowi to naturalnie kwestję uczucia. Zresztą tylko przez kierunek naszej uczuciowości i woli możemy dążyć do przekształcenia życia. One to wprowadzają idee do zwyczajów i spraw codziennych człowieka, czyniąc

je praktyką życia: „praktyka zaś dociera do samej rzeczywistości intuicyjnej", przez intuicję, szlakami podświadomości, łączymy się z bytem.

Intelekt natomiast, twardy, sztywny i rejestrujący, nie może być narzędziem przetwarzania życia (tu dotykam bardzo ciekawej strony rozumowań Abramowskiego na temat percepcji i apercepcji, rozwiniętych w „Zagadnieniach socjalizmu i metafizyce").

W rozwoju społecznym widzi Abramowski dwa rodzaje czynników psychicznych: *czynnik ideałów*, dążący w kierunku doprowadzenia do absolutnego dobra i *czynnik potrzeb*. „Potrzeby z natury swojej upodobniają się do ideałów i są bezpośrednią, zjawiskową postacią woli".

Szukając dróg zrealizowania nowego człowieka już dzisiaj, Abramowski uważał zrzeszenia współdzielców (kooperatywy spożywców) za najbardziej odpowiednie do tworzenia się nowej etyki formę współżycia. Kooperatywy, uderzając w „najczulszą stronę kapitalizmu", przygotowują „uspołecznienie, oparte o wolność i braterstwo".

Zrzeszenia kooperatyw przyszłości doprowadzić mają do powstania Rzeczpospolitej Kooperatystycznej, redukującej do minimum funkcje państwa.

Ujmując w sposób powyższy zjawisko socjologiczne, Abramowski zbliża nas do procesu stawania się społecznego, sugerując przeświadczenie, że od jakości naszego ładunku psychicznego, od zabarwienia uczuciowego naszych intencyj i rodzaju czynów zależy postać moralna zbiorowości, którą tworzymy, oraz efekt jej szczęścia lub niedoli.

Poznanie Edwarda Abramowskiego leży jeszcze przed nami niemal w całości. Byłoby marnowaniem posiadanych bogactw, gdybyśmy zostawili jego „odkrycie" przyszłym pokoleniom.

A przecież kilka artykułów, jakie ukazały się w ciągu bież. lata o Abramowskim z powodu 15 -lecia jego śmierci (umarł dn. 21 czerwca 1918 roku w Warszawie), dla nielicznych tylko były przypomnieniem, dla wielu stały się poprostu objawieniem tego człowieka.

Wysoki ton, wysoki lot jego umysłu, gorący stosunek do wszystkiego, czem się zajmował, szerokość rozumienia i wyrozumienia, wspaniały ekstrakt ideowych wartości, siła i świeżość argumentacji, — antycypowanie wielu spraw i zagadnień — czynią jego książki pokarmem psychicznym na dziś i na długo.

Jego dzieła drukowane obejmują w bibljografji, podanej przez K. Krzeczkowskiego, 117 numerów, w tem szereg kapitalnych prac naukowych psychologicznych i socjologicznych. Jego promieniująca ideowość pobudzała do czynnego realizowania braterstwa i przyjaźni na gruncie zrzeszeń i związków, powstałych jeszcze w czasach przedniepodległościowych; cały ruch spółdzielczy w Polsce od niego się wywodzi; w historji polskiego ruchu socjalistycznego, tworzącego się w końcu XIX w. na emigracji, Abramowski upamiętniony zostanie przez wysunięcie i uzasadnienie hasła niepodległości Polski.

W dotychczas istniejącej literaturze o Abramowskim najbardziej gruntowne opracowanie jego życia i działalności ideowo-naukowej dał Konstanty Krzeczkowski w przedmowie do I-go zbiorowego wydania dzieł treści filozoficznej i społecznej (nakładem Związku polskich stowarzyszeń spożywców. Tomy I — IV. Warszawa 1924 — 1928 r.).

Przedmowa ta, przejrzana i uzupełniona, wyszła w roku bieżącym jako oddzielna książka p. tyt.: *Dzieje życia i twórczości Edwarda Abramowskiego* (Wydawn. Spółdzielczego Instytutu Naukowego).

Konst. Krzeczkowski należy do kręgu ideowego ludzi, z którymi Abramowski w latach swej najintensywniejszej działalności społecznej (1898 — 1905) był najbliżej zespolony. Stąd praca jego jest cennem i bezpośredniem źródłem, zarówno w dziedzinie faktów, jak i wczucia się w niepospolitą indywidualność, której została poświęcona.

Od socjologji poprzez badania doświadczalne nad psychologją dochodzi Abramowski do metafizyki, stanowiącej koronę zamyśleń jego nad istotą i sensem życia ludzkiego wśród tajemnic bytu (Systematu swej metafizyki nie dokończył).

Krzeczkowski daje w skrótach obraz tej drogi ideologiczno-naukowej Abramowskiego: omawia istotę jego badań psychologicznych i poglądów filozoficznych, przedstawia kwintesencję poszukiwań socjologicznych, prowadzących do krytyki socjalizmu i wytworzenia teorji socjalizmu bezpaństwowego — streszcza wreszcie zasady współdzielczości w związku z rzutowanemi przez Abramowskiego podstawami nowej etyki. Ostatnie rozdziały książki, oraz stronice, związane z metafizyką doświadczalną (str. 84 — 89), zasługują na szczególnie uważne przestudjowanie.

N. Samotyhowa



W WARSZTACIE WŚRÓD CHMUR

(Dokończenie)

Po sutym posiłku rozpoczynamy około godziny jedenastej w nocy zejście z Lubomiru. Niebo prawie całkowicie zakryte chmurami. W gęstym lesie panuje taka ciemność, że prawie bez przerwy korzystać musimy z pomocy elektrycznych latarek. Kilkudniowe deszcze sprawiły, że wszędzie po drogach i bezdrożach snują się strumyki wody, tysiączne potoki niestrudzenie podążają do nizin, by połączyć się z wielką matką-rzeką, która je sprowadzi do wspólnego celu — morza.

Znakomity uczony opowiada mi rozmaite legendy, jakie krążą wśród górali na temat szczytu Łysiny. Według jednej z nich, dwóch djabłów ma swe siedziby na górze i często z całych sił dmą z swych kryjówek, sprowadzając wiatry i deszcze. Zabobonna mentalność okolicznego ludu dość ciekawie uwydatniła się również z chwilą zbudowania na szczycie góry obserwatorjum. Zdarzały się wypadki przybywania górali, proszących zacnych astronomów o — wróżby! W roku 1922-im, to jest w pierwszym roku istnienia obserwatorjum, zbieg okoliczności sprawił, że pogoda jesienią była zła i wyjątkowo wcześnie zawitała zima. Górale twierdzili wtedy, iż winowajcami są astronomowie z szczytu Lubomiru. Mówili, że luneta przyciąga deszcz i niepogodę. A gdyby w następnym roku pogoda była podobnie zła, zapowiadali, że przyjdą i wypędzą astronomów! Widocznie aura w następnych miesiącach polepszyła

się, groźby swej górale bowiem nie wykonali, a obecnie, zdaje się, całkowicie pogodzili się z faktem istnienia dziwnego warsztatu pracy na szczycie góry.

Pierwszy rok istnienia stacji wymagał wyjątkowego wysiłku młodych uczonych, którzy wtedy prowadzili tę placówkę. Samotność, obfite opady śnieżne, wichury, często zrywające antenę radjoodbiornika, jedynego łącznika z światem cywilizowanym, niesłychanie skromne warunki bytu musiały wyczerpywać zarówno fizyczne jak i duchowe siły tych młodych, ofiarnych bojowników nauki. Dziś warunki nieco się polepszyły, wszelako nie w tym stosunku, w jakim można było się tego spodziewać po jedenastu latach istnienia obserwatorjum. Trzeba zaznaczyć, że stacja na Lubomirze tylko w małej części zasilana jest państwowemi funduszami. Teren stacji stanowi darowiznę księcia Lubomirskiego. Profesor Banachiewicz potrafił z niezwykłą energją zorganizować akcję społeczną, która w znacznej części finansuje i utrzymuje obserwatorjum. Jednak mimo energji i podziwu godnej gorliwości stacja, która ma być zalążkiem wielkiego Narodowego Instytutu Astronomicznego, ledwo utrzymuje się na powierzchni bytu, a astronom, urzędujący w niej, musi rozrzutnie szafować siłami swej woli i wytrzymałości fizycznej.

Obecny astronom na Łysinie, dr. Mergentaler, już od roku 1927-go rezyduje na szczycie góry.

Polska strażnica gwiazd jest najwyższym w naszej ojczyźnie warsztatem pracy, jednak nie najwyższym w całej Europie. Na wysokości trzech i pół kilometra znajduje się, naprzykład, na górze Jungfrau w Alpach dobrze wyposażone obserwatorjum. O astronomach na Jungfrau pisuje często prasa całego świata, milcząc o małej chatce obserwacyjnej, sterczącej na szczycie Łysiny. Nie można się oczywiście temu dziwić. Stacja genewska rozporządza ogromnemi teleskopami, mogącemi śmiało współzawodniczyć nawet z amerykańskiemi olbrzymami, na naszej stacji beskidzkiej zaś brak najkonieczniejszych przyrządów. W jakże odmiennych i znacznie trudniejszych warunkach pracuje nasz polski astronom! Przeszło godzina drogi dzieli go od najbliższego osiedla górali, a pomoc lekarska w nagłych wypadkach wogóle nie jest możliwa!

O ileż łatwiej jest pracować nawet na szczycie Jungfrau! Porządne europejskie urządzenie naukowe, elegancki hotel i kolej górska tuż obok! A świat cały głosi chwałę bohaterów na Jungfrau!

Niemiłe, smutne nasuwają się refleksje!

Rozmawiając o aktualnych sprawach i bolączkach stacji lubomirskiej oraz o ogólniejszych jeszcze zagadnieniach polskiej astronomji powoli schodzimy z góry. Przez cały czas wycieczki pogoda nam sprzyjała. Zwłaszcza nocne zejście obfitowało mimo ciemności w przepiękne efekty malarskie.

Po dwóch godzinach, około czwartej rano zajeżdżamy do Krakowa przed bramy obserwatorjum krakowskiego. Spoglądam spowrotem w kierunku gór. Mgła poranna zalega horyzont i nie pozwala dostrzec szczytu beskidzkiego, na którym jeszcze niedawno byliśmy.

Samotny warsztat pracy tonie w morzu chmur.

Dr. Feliks Burdecki

ŚMIECH ARTYSTÓW

Są ludzie o wrodzonem poczuciu humoru. Poczucie humoru idzie w parze ze zdolnością do krytycyzmu, to też ludzie tacy wnoszą w swoje otoczenie niebezpieczne rozprzężenie dyscypliny zawodowej czy moralnej, ale jednocześnie są jak budzący powiew wiosennego wiatru. Zuchwały ich śmiech w chwili najbardziej uroczystej może sprawić rzeczy dziwne i niespodziane. Tak promień słoneczny, gdy padnie na zapylone papiery, wprost przed tępe oczy łysego urzędnika, myli mu cyfry i litery, każe odłożyć pióro, rosprostować zbolały kark, przetrzeć zmęczone oczy i prowadzić spojrzenie po złotej ścieżce słonecznej, dalej za okno, wyżej za kościelne wieże, jeszcze wyżej i wyżej i budzi w nim zuchwałe niesforne myśli o bezużyteczności pożytecznej pracy i o pożytkach, płynących z rzeczy niepotrzebnych. Nie bez powodu opowiadamy sobie wesołe dykteryjki, lubimy się śmiać i pobudzać innych do śmiechu.

W ten sposób podświadomie sondujemy pojęcia innych, odkrywamy wspólne płaszczyzny porozumień i wyobrażeń.

Wiedz o tem, że ten kogo nie bawi to, co w tobie wzbudza ochotę do śmiechu, zawsze opuści cię w chwili najważniejszej i zawsze zdradzi cię w godzinie walki.

Powiedz mi, co budzi w tobie śmiech, a powiem ci, kim jesteś.

Jednym z najbardziej odgraniczonych od reszty społeczeństwa zawodów jest zawód aktorski. Żaden też inny nie wymaga tak ścisłego porozumienia i kontaktu. Poprostu w dosłownem tego słowa znaczeniu, aktorzy nie mogą żyć bez siebie. W ciągu sezonu skazani są na obcowanie ze sobą ściślejsze, niż w życiu rodzinnem. Odsłaniając się przed sobą niemal do bezwstydu w pracy, która polega na pokazywaniu wszystkich swoich namiętności, znają się doskonale, a co zatem idzie, bawią się, jak nikt inny ze sobą — z siebie, ze swej biedy i powodzenia, ze swych złudzeń i niespodziewanych zwycięstw, z głupich zachwytów niepowołanych i jeszcze głupszej nagany. Ten śmiech koleżeński jest jedną z fascynujących podniet życia szkolnego czy akademickiego, jest też w życiu teatralnem czemś, jak haszysz, który podtrzymuje w chwilach słabości i upajań i za czem tęskni się zawsze i wszędzie.

Aktor, poza teatrem często nudny i nieciekawy, na swojem terytorjum, wśród swoich, znających wszystkie jego słabości i odruchy, staje się miły, dowcipny i potrzebny.

O ile to przenikanie się, zrozumienie i humor jest urokiem życia za kulisami, o tyle klęską staje się na scenie. Im się bardziej „żyje" na scenie, im dalej odchodzi się od życia prywatnego w owo życie sztuczne, wyczarowane na scenie, tem niebezpieczniejsza jest chwila, gdy rozluźniają się ściany, oddzielające te

dwa światy i aktor nagle na scenie uświadamia sobie — że nie jest Otellem, dzikim murzynem, ale wesołym, poczciwym chłopcem. Staje mu w pamięci własna twarz, wymalowana na czarno, widziana przed chwilą w lustrze i w tej chwili chochlik humoru podsuwa mu tysiące obrazów, w których dziecinna rzeczywistość stawia mu przed oczy własne „wygłupianie".

Wszystko śmieszy: i broda kolegi, odklejająca się z jednej strony, czego przed chwilą nie widział, i oko strażaka, błyszczące w dziurce od kulisy i biblioteka malowana na płótnie, — wszystko sprzysięga się, by wytrącić go z powagi roli.

Rozpaczliwe wysiłki, by powstrzymać ów śmiech i uczynić go niewidzialnym dla innych, pogarsza zwykle sprawę. Nikogo, niestety, nie udaje się oszukać. Z oczów do oczów skaczą chochliki, chciwie rzucają się na każdą świeżą ofiarę, wchodzącą w krąg świateł rampy. Jedne roześmiane, uciekające przed partnerem oczy Otella mogą wprawić w drganie spazmatycznego śmiechu umierającą Desdemonę, ciskającą przekleństwa Emilję, zbrodniczego Jagona,—wszystkich brodatych sędziów, ba i trupów nawet. Tak jest, nawet trupy może wprawić w spazmatyczne drganie błysk roześmianej pary oczu.

Niema chyba aktora, któryby nie miał doświadczeń z tej dziedziny tragikomicznych przeżyć, gdy na scenę niespodzianie wtargnęło życie prywatne i rozwaliło w puch atmosferę, wylęgłą w świetle reflektorów, budząc niewstrzymany śmiech tem rozkoszniejszy, że ponad nim unosi się groźba skandalu i niebezpieczeństwo spuszczenia kurtyny.

Najpodatniejsze do tych groźnych, a jednak tak rozkosznych przeżyć są dramaty i tragedje klasyczne. Poezja mistyczna też jest niezła, a także sztuki patrjotyczne są bardzo, ale to bardzo niebezpieczne.

Niezapomnianą jest w kronikach teatru krakowskiego im. Słowackiego uroczysta premjera „Kościuszki pod Racławicami". Trzeba pamiętać, że to było jeszcze za czasów niewoli.

Premjera Kościuszki była czemś w rodzaju święta narodowego.

Z Bronowic gromadnie zjechali chłopi i dziewczęta w barwnych sukmanach, malowanych gorsetach połyskując ostremi, prawdziwemi kosami. Ofiarowali się oni wziąć udział w przedstawieniu, robiąc tłum kosynierów.

Piękną widownię krakowskiego teatru zapełniła po brzegi publiczność naprawdę niezwykła. Goście z pod zaborów pruskiego i rosyjskiego zapełnili szczelnie wszystkie loże. Każde powiedzenie o wolności, każde ukazanie się oficera w polskim mundurze witane było burzą wzruszających oklasków i gorących okrzyków. Gdy wszedł Kościuszko, publiczność porwała się z miejsc.Wiwaty i okrzyki entuzjastyczne zrywały się jak huk gromów ciągle odnowa, nieskończenie, nieskończenie długo. — Wreszcie Kościuszko podniósł rękę na znak, że chce mówić: cisza zaległa taka, że aktorzy czuli bicie własnego serca, a Kościuszko przysięgał uroczyście nie złożyć broni, dopóki Ojczyzny nie oswobodzi od wroga, a potem dziękował wojsku i panom, a na koniec najgoręcej kosynjerom.

— Bartoszu Głowacki, wystąp!

Głowacki wystąpił przed front i z czapką w garści stanął przed Naczelnikiem:

— Hej, mości Naczelniku — rzekł. — Nie lepszym ja, niż inny. Wszyscyśmy dobrzy, kiedy idzie o „á conto!"

Powieki Kościuszki zatrzepotały, jakby go poraziło słońce i nagle wszyscy bohaterowie, ich żony, córki i kochanki, kto żyw na scenie — lud i żołnierze — wszyscy odwrócili się tyłem do widowni. Kto mógł, zakrywał twarz czapką, inni kichali, kaszleli, chrząkali, tylne szeregi, schowane za szeregi pierwszych, zgięci w dziwaczne precle, skręcali się w pazmach powstrzymywanego śmiechu. Trwało to może 6 — 7 sekund. Ale aktorom zdawało się, że zanim Kościuszko odpowiedział, świat stanął w biegu, gwiazdy spadły, ludzie wymarli, a oni konają z sadystycznej rozkoszy śmiechu.

Cóż się okazało?

Otóż biedny Głowacki, po kilku dniach daremnych starań dostał nareszcie w antrakcie á conto, właśnie przed samem wejściem na scenę i cały czas ściskał pieniądze w garści, żeby nie zgubić. Wypalił więc prawdę najszczerszą w obliczu całego wojska i ukochanego naczelnika.

Realizm prywatnego życia zbudził wszystkich ze snu i mało już brakowało, a dobroczynna kurtyna musiałaby położyć kres tej rozkosznej męce aktorów, ale nie zemście widzów, którzy przyszli tu szukać omamień i zapłacili za to.

Uratował sytuację sufler, który widząc, co się dzieje, krzyknął z budy:

„Skandal! Świństwo!"

Stojący bliżej budki opanowali się, za nimi inni i przedstawienie poszło dalej, zanim, jak później mówiono, ktokolwiek z widzów mógł połapać się w sytuacji.

Innym znów razem, było to w Teatrze Ludowym w Krakowie, dyrektor Rygier postanowił wznowić „Obronę Częstochowy". Niewiadomo co było pretekstem, że po kilku latach zbrodni, popełnionej w Częstochowie przez księdza Macocha, dzienniki antyklerykalne wyciągnęły na łamy swoich pism znowu tę brudną sprawę. Dyrektor Rygier powziął wówczas myśl, wielce obywatelską, niepozbawioną też praktycznej strony, by wznowić sztukę, której bohaterem jest świetlana postać księdza Kordeckiego.

Sam dyrektor Rygier, wielki tragik i doskonały aktor dawnego pokolenia, podjął się roli Kordeckiego i sam też z nakładem niespożytej energji wziął się do reżyserji. Szeregi krótkich obrazów kończył efekt, nietyle oryginalny, ile niezawodny.

Otóż ostatnia scena, wraz z ostatniemi słowami tekstu, zamierała w bezruchu, kurtyna szła wolno w dół i bezpośrednio wolno w górę, odsłaniając — żywy obraz.

Próby odbywały się z gorączkowym wysiłkiem. Matrony i dziewice polskie, które schroniły się w murach częstochowskiego klasztoru, reprezentować miały pozbierane panienki wolnych zawodów, mało mające cech wspólnych z polską matroną, a jeszcze mniej ze sztuką. Tępe, głupie, obojętne, zawsze niewyspane, wyczerpywały reżyserskie siły conajmniej w trzech czwartych, ale po nieludzkich wysiłkach dyrektor Rygier dokazał cudu.

Tłum polskich kobiet ożył! Kiedy poseł szwedzki grozi Kordeckiemu, mówiąc: „O ile klasztor nie podda się do zachodu słońca, w gruzy go rozsypię, w powietrze wysadzę"! — tłum kobiet rzucał się do stóp Kordeckiego i wyciągając błagalnie dłonie, wołał: „Ratuj nas! w gruzy rozsypie, w powietrze wysadzi!"

Nieustraszony Kordecki odprawia groźnie posła, a potem uspakaja kobiety i padając na kolana, w natchnionym wierszu poleca bezpieczeństwo Ojczyzny Matce Boskiej Częstochowskiej. Kurtyna wdół. Kurtyna w górę — żvwv obraz.

Próba generalna poszła doskonale. Rachuby doświadczonego dyrektora nie zawiodły. Poczciwi mieszkańcy pobożnego krakowskiego Grodu stawili się tłumnie. Parter wypełniło mieszczaństwo po brzegi, a galerja uginała się od andrusów i młodzieży różnych stanów. Publiczność oklaskiwała każde zakończenie żywym obrazem, ale najgoręcej wspaniałą postać Kordeckiego w białym habicie, ze złotym krzyżem na bohaterskiej piersi.

Szlachetne, spokojne jego oblicze zdawało się wołać: „Potrzcie i takich księży ma Polska w swojej historji! Przebaczcie Macochowi w imię Kordeckiego!"

Obraz czwarty — oblężenie klasztoru. Kobiety pod opieką księdza Kordeckiego, stłoczone czekają na wizytę posła szwedzkiego. Z brzękiem, szczękiem, butnie wchodzi szwedzki poseł. Ale, o Boże! Nie ten, co na próbach. — Czyżby przyprawiona broda mogła tak zmienić kolegę? Nie, to ktoś inny. Ktoś go zastępuje bez próby!

Szwed boi się, pot występuje mu na czoło, ale to nic — to nawet może dobrze wyglądać. Jąka się, ale jakoś idzie — słowo po słowie i dobiega do końca...

„Jeżeli klasztor nie podda się do zachodu słońca, w gruzy go rozsypię, w powietrze wysadzę!"

Co to?

Kobiety nie rzucają się do nóg księdza Kordeckiego. Długa pauza. Gapią się na posła, poseł na nich i robi się cisza, trwająca wieczność — pusta głupia dziura.

Teraz Kordecki odwraca się tyłem do widowni i zgoła niemiłosiernym wzrokiem przeszywa zgromadzenie. Z krtani dyszy wściekły głos: „Gadać, psiakrew, bydlęta, gadać!".

Ba, ale co?

Jedna tylko statystka, gdzieś w tyle sceny stojąca, przypomniała sobie i z ostatnich szeregów cienki, samotny głosik, nasycony zgoła niestosownym nastrojem, przerwał grobową ciszę:

— Ach prawda — w powietrze wysadzi.

Skutek tego skromnego głosiku był potężniejszy, niż jęki i błagania, tak pięknie robione na próbach.

Kordecki padł na kolana ciężko jak kamień. Poseł szwedzki, jak piorunem rażony, wypadł za drzwi. Aktorka, grająca tragiczną rolę Anny, rzuciła się w ramiona swej matki, która chcąc ją uspokoić, szczypała boleśnie jej ramię, ale sama trzęsła się i kichała jej we włosy.

Biedny Kordecki i reżyser w jednej osobie tarł głowę o złożone w modlitwie dłonie, a kiedy podniósł ją i zwrócił ku aktorom, miał tak okropny wyraz twarzy, że śmiech zamarł im na ustach. Wiedziano powszechnie, że Rygier jest pasjonatem, ale nie wiedziano o tem, że choroba nerwowa, która z czasem zaprowadzić go miała do domu zdrowia, zapuszczała już korzenie w zmęczony mózg i rozdygotane serce.

Publiczność widziała tylko kornie pochylony w modlitwie grzbiet, ale aktorom pokazywał Kordecki swoją prawdziwą twarz. Stracił tak panowanie nad sobą, że bełkotał nieprzytomnie tylko jedno zdanie: „O Matko Boska Częstochowska...

Przerażony sufler dawał znak na spuszczenie kurtyny. Aktorzy zamarli w żywy obraz i już się zdawało, że szczęśliwie wybrną, gdy o, zgrozo, Kordecki czekał tylko na chwilę, gdy kurtyna dotknie ziemi. Zerwał się na równe nogi. Łańcuch z krzyżem w jednej chwili pękł na dwie połowy i Kordecki wymachując nim groźnie, biegł za uciekającemi w popłochu statystkami, klnąc szpetnie.

Tymczasem kurtyniarz według rozkazu podniósł kurtynę bezpośrednio po opuszczeniu i oczom widzów ukazał się rozkrzyczany klecha, miotający przekleństwa i obelgi, wśród gromady wylękłych kobiet. Nagły ryk śmiechu, wycie i gwizdy uprzytomniły całą głębię komizmu iście szatańskiej sceny.

„Macoch! Macoch!" — wołała widownia. — „Precz! hańba! Na latarnię z nim!" — ryczała galerja.

— Kurtyna była już dawno w dole, ale tłum tupał nogami i dopominał się Macocha.

— Ty, Macoch, pokaż się!

Aktorzy siedzieli w garderobie wszyscy razem, jak myszy na pudle.

— Co teraz będzie?

— „Macoch! Świnia! Macoch!" — ryczała widownia.

Teraz była to już manifestacja. Ktoś przez szparkę w drwiach zobaczył, że chłopak wnosił do garderoby Rygiera syfon wody sodowej. Posłano na widownię kilku aktorów, by uspokoili publiczność. Nareszcie po długiej chwili zrobiło się cicho i nagle którys z kolegów powiedział szeptem:

— Wiecie co, stary miał nieczyste intencje, chciał zbujać Częstochową, a wylazł Macoch.

Trafił w sedno. Buchnął śmiech, śmiała się cała garderoba. Śmieli się, jak opętani, do łez, do zmęczenia, do zupełnego wyczerpania.

Skończyli odważnie przedstawienie i śmieli się, wracając do domu i jeszcze na drugi dzień na próbie, która jednak nie odbyła się, bo biedny Kordecki nie przyszedł.

Dlaczego nie przyszedł?

Dlaczego nie stanął wśród nich i nie śmiał się razem z nimi śmiechem zdrowym ze samego siebie?

Dlaczego nie ukarał tym śmiechem brzydkiej, trywialnej twarzy, co wyjrzała niedyskretnie z poza tej innej, którą usiłował stworzyć.

Kto wie? Może, gdyby umiał zobaczyć głęboki komizm, tkwiący we wszystkiem co ludzkie, więc niedoskonałe — któż wie. Może, gdyby umiał się śmiać z niezdarnych, chwiejnych kroków, które stawiamy na drodze życia — kto wie — czy nie zwyciężyłby wówczas zarodku nerwowej choroby i czy nie byłby prawdziwie zdrowym?

Zdrowe dziecko, stawiające niezdarnie kroki, śmieje się w głos przy każdym upadku. Śmieje się radośnie, bo wie i czuje, że pouczone doświadczeniem następny krok postawi pewniej, potem jeszcze pewniej i mocniej i trzeci i czwarty, aż nauczy się chodzić prosto i biegać daleko... —

Śmiech jest stwierdzeniem swojej siły!

Zrozumieniem, czy porozumieniem. Zobaczeniem rzeczywistości nagiej, bez łachmanów, frazesu i zakłamania. Jest ukochaniem tej swobodnej nagości, jakąkolwiek jest, i odważną walką o prawo bytu dla niej w słońcu i bezwstydzie. *Zofja Modrzewska*

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Jesień tegoroczna rozpoczęła się pod znakiem kongresów politycznych. Niedawno zakończył swe obrady kongres Międzynarodówki socjalistycznej w Paryżu.

Myliłby się ten, kto załamanie ruchu socjalistycznego przypisywałby wyłącznie wypadkom w Niemczech. Pierwszym sygnałem ostrzegawczym dla II Międzynarodówki były przedewszystkiem ostatnie wybory angielskie i odsunięcie od władzy potężnej doniedawna Labour-Party. Klęska Labour-Party, jej odejście bez spełnienia choćby jednej z obietnic wyborczych, miały dla szerszych mas doniosłą wymowę. Niefortunnie sprawowane w Anglji rządy socjalistów, podważyły wiarę mas w II Międzynarodówkę. Sprawdziła się stara teza o politykach, którzy są mocni, praktyczni, doświadczeni i przewidujący tak długo, póki są w opozycji, a przy sterze są równie nieudolni, jak zwalczani przez nich przeciwnicy. Labour Party egzaminu nie zdała, i od tej chwili datuje się załamanie II Międzynarodówki, które w sposób brutalny i bezwzględny przypieczętowały wypadki w trzeciej Rzeszy. Socjaliści niemieccy okazali się bezoporną słabością, zdmuchniętą przez pierwszy atak hitlerowski. Przegrana w Anglji i w Niemczech oznaczała klęskę II Międzynarodówki.

Obrady paryskie wskazują, że II-a Międzynarodówka zrezygnowała już z terenu niemieckiego. Agresywna propozycja angielskiego delegata Daltona, wzywającego do bojkotu Niemiec hitlerowskich, przeszła bez żywszego oddźwięku. Bez echa minęło też mętne przemówienie delegata niemieckiego — Welsa, który oskarżał Europę, komunistów i bezrobocie za klęskę socjaldemokracji.

Kongres zainteresował się najżywiej rozłamem wśród francuskich socjalistów. Deklaracja Renaudel'a, złożona w imieniu prawego skrzydła, słuchana była z najwyższą uwagą. Słowa Renaudela i jego towarzyszy zawierały niepokojące ze stanowiska II Międzynarodówki tony. Renaudel zastrzegał się gorąco przeciw posądzaniu go o neosocjalizm czy „socjalfaszyzm", zapewnił o wierności i przywiązaniu do haseł socjalistycznych. Stanowisko swoje sformułował w następujący sposób: przeciw dyktaturze i przeciw chaosowi kapitalistycznemu poprzez ład i porządek, przez zorganizowaną demokrację i socjalizm ku zbawieniu narodu, poprzez naród ku solidarności międzynarodowej.

Marquet, leader prawego skrzydła socjalistów francuskich, podkreślił w swem przemówieniu, iż proletarjat europejski nie reaguje już wcale na wezwania Międzynarodówki. Jako powód tej tragicznej sytuacji podał Marquet nieudane eksperymenty rządów socjalistycznych w szeregu państw.

Nie obyło się też bez kłótni i sporów. Były naczelny redaktor *Avanti*, Nenni, zarzucił socjaldemokracji niemieckiej, iż dla obrony demokracji poświęciła zdobycze socjalne. Skolei redaktor *Vorwaerts'u*, Stampfer, ostro zaprotestował przeciw tym, jak się wyraził, insynuacjom Nenni'ego.

Klęska angielska i niemiecka, konflikt w łonie francuskiej partji, odrzucone wnioski grupy Bluma w sprawie połączenia z III Międzynarodówką są świadectwem głębokiego kryzysu, jaki przeżywa socjalizm międzynarodowy. Świadectwem ideowego załamania jest też konfrontacja poglądów Vanderveldego, jednego z najstarszych i najwybitniejszych przywódców ruchu, który określił zadanie międzynarodówki jako nieustającą obronę przeciw wszelkim odmianom nacjonalizmu, z enuncjacjami Deat'a, Renaudel'a i Marquet'a, deputowanych do parlamentu francuskiego, wzywających socjalistów do przyjęcia programu narodowego. Jedną z przyczyn klęski socjalistów upatruje Deat w ich „odgraniczeniu się od narodu i podkreślaniu internacjonalizmu w chwili, gdy pozbawieni są wszelkiej międzynarodowej pomocy".

**
*

Sunday Referee ogłosił sensacyjne rewelacje o tajnych zbrojeniach Niemiec. Podał cyfry, nazwy i adresy firm, dostarczających rządowi Hitlera wszystkie rodzaje zakazanego przez traktat wersalski sprzętu wojennego.

„Niemcy — pisze *Sunday Referee* — są wielkim obozem warownym, bazą dla przyszłej wojny... Naród niemiecki, kraj i jego wytwórczość, przemysł i rolnictwo, teatry, kinematografy, drukarnie, nauczyciele, młodzież szkolna mają jedną rację swego istnienia — przeznaczenie do służby wojennej. Takie jest jedyne kryterjum, kierujące wewnętrzną i zagraniczną polityką Niemiec.

„Deklamacja pokojowa Hitlera należy również do programu przygotowań wojennych. Ma ona na celu odroczenie wojny do chwili, gdy zakończone zostaną zbrojenia wraz z militaryzacją całego narodu, gwarantującą zwycięstwo w przyszłej wojnie. Dopóki to nie nastąpi, Niemcy będą obłudnie propagować pacyfizm nazewnątrz, stosując zarazem brutalny i krwawy teror u siebie w domu... Budżet niemiecki na rok 1933 zawiera wyraźne dowody militaryzmu nazi".

Zdaniem *Sunday Referee* w budżecie zakonspirowana jest suma 800 miljonów marek na tajne zbrojenia. Skolei wskazuje tygodnik londyński na spadek importu przemysłowego Niemiec niemal do zera przy jednoczesnym stałym wzroście przywozu żelaza i miedzi, niezbędnych dla produkcji sprzętu wojennego. *Sunday Referee* podaje długą listę zakładów przemysłowych, zaprzęgniętych do dzieła dozbrojenia Rzeszy: wytwórnie wagonów Linke-Hoffman w Breslau i fabryki samochodowe Daimler-Benz produkują tanki, fabryka Simson w Suhl wytwarza armaty, wytwórnie karoseryj w Eisenbach produkują miotacze min, a reńskie zakłady metalowe w Duesseldorf skonstruowały nowy typ olbrzymiej armaty, która pod względem kalibru, dalekonośności i siły wybuchowej jest ostatniem słowem techniki bojowej.

„Przemysłowcy niemieccy życzliwie spoglądają na akcję zbrojenia, która spełnia ich najżywsze pragnienia —wielkich zamówień. Hitler spłaca ciężkiemu przemysłowi dług, zaciągnięty swego czasu przez partję nazi".

Uzupełnieniem na innym terenie tych rewelacyj *Sunday Referee* jest artykuł *Daily Telegraph* o zbrojeniach na morzu. W związku z nowym programem budowy okrętów wojennych w Japonji, Francji, Włoszech i Stanach Zjednoczonych, admiralicja angielska przedsięwzięła kroki, które mają ochronić marynarkę brytyjską przed dalszem osłabieniem. Dlatego też jeszcze przed wniesieniem do Izby Gmin nowego budżetu, admiralicja wystąpi z projektem ustawy o rozbudowie angielskich sił morskich. Postulaty admiralicji mają dotyczyć budowy 25 krążowników, dorównywujących pod względem wielkości i szybkości jednostkom morskim, spuszczonym niedawno na wodę przez inne państwa.

Pozatem admiralicja będzie się domagała budowy 15 torpedowców i łodzi podwodnych — rocznie. Liczebność składu osobowego marynarki będzie conajmniej powiększona o 10 tysięcy ludzi, a manewry morskie będą urządzane o wiele częściej niż dotychczas.

Artykuły *Sunday Referee* i *Daily Telegraph* są dobitnem świadectwem międzynarodowego wyścigu zbrojeń, a zarazem dyskwalifikują oficjalne wynurzenia mężów stanu i apostołów rozbrojenia.

**
*

Na zebraniu elity partyjnej w bawarskiem Berchtesgaden oświadczył Hitler, że naczelnem żądaniem rządu jest walka z bezrobociem, a pierwsza faza tej walki zakończyła się zwycięsko, bo „zabrała z ulicy 2 miljony bezrobotnych". Niedawno zaś minister handlu i przemysłu, Schmidt, poświęcił znaczną część swej mowy kolońskiej również zagadnieniu walki z brakiem pracy. Nie był to jednak okrzyk tryumfu:

„Żadnemi gwałtownemi interwencjami ani zwycięskiemi biuletynami o lokalnem zniesieniu bezrobocia sprawy się nie rozstrzygnie. Niema sensu rozkazywać pracodawcom, aby zatrudniali bezrobotnych, z chwilą, gdy każdy nowy ciężar grozi ruiną... Nie jest trudno walczyć z bezrobociem w powiecie rolniczym, gdzie niema wcale przemysłu. Co jednak oznaczają zapowiedzi, że dana dzielnica zostanie uprzemysłowiona? Cóż poczniemy z Zagłębiem Ruhry, z jej miljonami robotników z chwilą, gdy każda prowincja chciałaby sama się wyżywić?"

Przemówienie ministra Schmidta, daleko odbiegające od frazesów Hitlera, oraz szereg specyficznych objawów na rynku pracy dowodzą, że „konjunkturalne" ożywienie nie ma cech trwałości, a znaczną „haussę" zanotować może jedynie ciężki przemysł dzięki zamówieniom Reichswehry na sprzęt bojowy i dzięki wzmożonej budowie silników i kadłubów aeroplanowych.

Zastępca.

LISTY DO »EPOKI«

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem pilnym czytelnikiem „Epoki", wprawdzie dopiero od kilku miesięcy, i to na skutek wzmianki w organie naszego związku, w „Głosie Nauczycielstwa". Inaczej pewnie nie wiedziałbym o istnieniu „Epoki", gdyż pracuję na Kresach Wschodnich, w głuchej wsi, oddalonej 18 klm. od kolei. Łatwo zrozumieć, jak na tem pustkowiu i w samotności wita się każdy numer pisma, przychodzącego z serca kraju, zwłaszcza pisma — jak „Epoka", które przynosi tyle szlachetnego materjału do myślenia.

Otóż, jako nauczyciel, który zresztą usiłuje sprostać swoim obowiązkom jako pedagog i jako obywatel, pragnąłbym zwrócić uwagę Pana Redaktora na dwie sprawy: 1) Kresy Wschodnie, — olbrzymia połać kraju, która ostatnio zaczyna się organicznie wiązać z Polską, ale z Polską postępową i humanitarną, wymagają pilnej uwagi i zainteresowania właśnie ze strony organów poważnych. Czy wobec tego nie godziłoby się coś o nas pisać i nas tu wszystkich zachęcać do studjów w tym ciekawym i budzącym się do życia kraju. Lud jest z natury inteligentny i dobry, obecnie w miarę osłabiania się wpływów wschodniego sąsiada — zwraca oczy i uszy w kierunku Warszawy. Godziłoby się zatem, iżby postępowa, wolnościowa Warszawa, której jednym z wyrazów żywych jest właśnie „Epoka" — starała się więcej widzieć i słyszeć o tem, co myślą i czynią Kresy. 2) od czasu do czasu ukazują się w „Epoce" artykuły, poświęcone zagadnieniom nauczania i bytu nauczycielstwa. Ale to są jeszcze okruchy wobec skali olbrzymiej tych zagadnień. Właśnie pismo tak wyraźnie radykalne, bezstronne i pod względem poziomu pisarskiego wysokie — powinno mojem zdaniem w związku z ogólnemi zagadnieniami społecznemi — wprowadzić jakąś rubrykę stałą dla tych zagadnień. Nie wątpię, że całe nauczycielstwo powitałoby z radością i z satysfakcją taką rybrykę, widząc w niej cząstkę swojej duszy. Przepraszam Pana Redaktora, że pozwalam sobie wtrącać się w sferę tematów, ale przywiązałem się do „Epoki" i pragnę gorąco jej rozkwitu i jaknajwiększych tak uczciwych jej wpływów.

Z poważaniem

Zbigniew S.

Poczta Głębokie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu A. D. „dożywotniemu prenumeratorowi" w Łomży. Zgoda. Bardzo nam jest miła owa „dożywotność". Długich lat żywota życzymy i Panu i sobie.

Panu Edwardowi Z. we Lwowie. Dziękujemy. Wysłaliśmy wszystkim.

Pani Janinie M. w Łodzi. W 31-ym n-rze „Epoki".

TREŚĆ NUMERU.

Wydarzenia i dokumenty: Rzeź asyryjczyków. Czy to możliwe? Budujący przykład. Zachwyt niedoli. Przyrost ludności — *Józef Wasowski:* Nowy porządek. — *Zygmunt Michałowski:* Przepis i człowiek. — Ruch w starym teatrze. — Słowa słuszne i niesłuszne. — Znalezione wyjście. — *M. Czarnowski:* Dwie rewolucje. — *Józef Szpecht:* Władca wolności. — *N. Samotyhowa:* Pamięci Abramowskiego. — *Dr. F. Burdecki:* W warsztacie wśród chmur. — *Zofja Modrzewska:* Śmiech artystów. — Przegląd polityczny. — Listy do „Epoki". — Odpowiedzi redakcji.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.- 550 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.